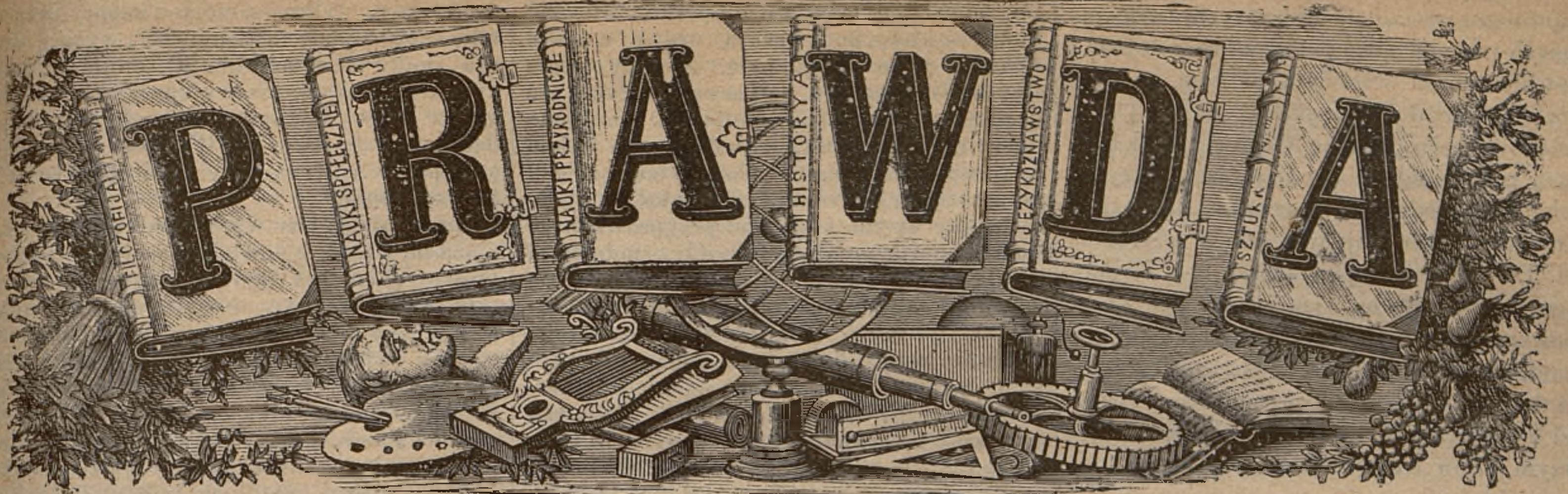
№ 34. Warszawa, dnia 25 (13) Sierpnia 1888 r. Rok VIII.



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Złota Nr. 23.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub **jego** miejsce.

TREŚĆ:

POLITYKA.

DWA OLBRZYMY.

Wszystkie znamiona polityki niemieckiej wskazują wyraźnie, że głównym, niemal wyłącznie jej celem w teraźniejszości jest wyosobnienie Francyi i zawiązanie stosunków przyjacielskich ze wszystkiemi innemi mocarstwami. Minął, a zdaje się — jak gdyby o całe lat dziesiątki odszedł ten czas, kiedy to ks. Bismark z mównicy sejmowej przesyłał grzeczności rządowi francuskiemu, kiedy go popierał w procesach dyplomatycznych a przedstawicieli Rzeczypospolitej zapraszał na gawędkę do Warcyna. Dziś nie zostało ani śladu z tych umizgów; przeciwnie, nienawiść zrzuciła maskę i ukazuje swą twarz gniewną. Począwszy od nieprzyjęcia udziału w wystawie paryskiej aż do ostatnich przemówień cesarza niemieckiego, widzimy długi szereg tłumionych lub otwartych niechęci, które brzmią w polityce jak głuche grzmoty nadciągającej burzy. Wielokrotne odezwy *Nordd. Allg. Ztng*, dowodzące, że Francya „dziczeje,“ zapory paszportowe na granicy, sofistyczne poparcie Włoch w uroszczeniach do Massawy — wszystko to świadczy, że rząd niemiecki porzucił nadzieję zyskania względów nieprzyjaciółki i postanowił przybrać wobec niej postawę groźną, jeśli nie wyzywającą. Tym zamiarem cesarz Wilhelm odznaczył wyraźnie dwie swoje mowy, nad któremi dotychczas kiwają głowami dziennikarze całego świata. Jedna z nich, wypowiedziana przy odsłonięciu pomnika dla Fryderyka Karola we Frankfurcie nad Odrą a przed ogłoszeniem poprawiona bardzo starannie, zawierała taki ustęp: „Są ludzie, którzy śmią utrzymywać, że ojciec mój chciał oddać to, co wspólnie z nieboszczykiem księciem wywalczył szablą. Wszyscy znaliśmy go zbyt dobrze, ażebyśmy bodaj na chwilę mogli spokojnie znieść tę obelgę dla jego pamięci. Ożywiała go ta sama myśl, co i nas, że nic ze zdobyczy wielkiej epoki zwróconem być nie może. Sądzę, że zarówno w III korpusie, jak i w całej armii wiemy, iż raczej położylibyśmy na placu boju 18 korpusów i 42 miliony mieszkańców, niż odstąpilibyśmy jeden kamień z tego, co zdobył mój ojciec i ks. Fryderyk Karol.“ Energia i szczerość groźby występują w tych słowach tak dobitnie, że dla odszukania ich celu błąkać się nie potrzeba. Pomimo też, że chciano je częściowo odciągnąć ku Danii, pobiegły one do Francyi i tam pękły jak bomba. Zresztą ces. Wilhelm obciął nogi kulawym domysłom, przemówiwszy wkrótce do jednego z pułków, wsławionych podczas wojny francusko-pruskiej i wyraziwszy nadzieję, że „w potrzebie“ sława ta się odświeży nowymi wawrzynami.

Nie ulega wątpliwości, że Niemcy z bronią w pogotowiu, którą dawniej kryły za plecami, chcą bądź nastraszyć Francyę, bądź wyzwać ją do boju. Na tę drogę popchnęły je objawy niegasnącego odwetu ze strony przeciwnej oraz krewki temperament i żołnierski charakter młodego monarchy. Jakkolwiek legenda mogła przesadzać jego popędliwość wojenną, pozostaje pewnem, że cesarz Wilhelm wpatrzył się w ślady dziadka i marzy o laurach wojskowych. Wielkie i szybkie zmiany, jakie zaprowadza w armii, dobór nowych w niej ludzi, samodzielne reformy przekonywają, że w tym kierunku biegną wszystkie jego myśli i marzenia. Trudno zaś przypuścić idealną uprawę sztuki dla sztuki, lub też pracę dla zabawki. Energia ta prędzej czy później musi się wyładować w czynach, które jedynie mogą zadowolić i uspokoić żądną ich naturę. Skwapliwe unikanie wszelkich rozdrażnień sąsiadki wschodniej wskazuje, że celem będzie zachodnia.

Cóż wobec tego czyni Francya? Pasuje się z Boulangerem. Powalony, poszarpany i pokłuty śmiesznością, uznany za umarłego politycznie, powstał znowu i odniósł zwycięztwo w trzech okręgach wyborczych. Wypadek ten zdumiał i przeraził jego przeciwników. Bo stanął przed nimi nie komedyant, kłamca, warchoł, ale siłacz. Zaznaczyć należy, że kameleon w niezliczonych przemianach przybrał teraz barwę, która odbije się wielkim wstydem na twarzach dawnej jego rzeszy. To już nie dowódca radykałów i reformatorów, nie watażka czerwieńców, ale hetman zjednoczonych reakcyonistów, monarchistów i klerykałów. Chorągiew purpurowa przefarbowała się w jego rękach na czarno-białą, wrogą Rzeczypospolitej. Wszyscy spiskujący przeciw niej, odłożywszy na później walkę pomiędzy sobą, tymczasowo skupili się pod jego sztandarem, ażeby mu ułatwić zwycięztwo. Niech on naprzód dokona zagłady — a oni potem rozpoczną zapasy o gruzy i ruiny. Rozbity na niezliczone odłamki i nigdy niezdolny do naśladowania taktyki swych przeciwników, obóz republikański ujrzał nagle przed sobą widmo, które uważał za wypłoszone ostatecznie. Nie Boulanger sam, nie Boulanger wybrany w trzech okręgach, ale owa łączność żywiołów antirepublikańskich przeraża rząd obecny i jego zwolenników.

Z jakiemże szyderstwem spojrzy na nas Europa po tych wyborach — woła *République fr.* — i ma słuszność. Nikt nie wierzy w trwałość Francyi dzisiejszej, nikt jej nie szanuje, nikt jej się nie lęka. Jest to worek raków, rozłażących się w różne strony, jest to kotlina wirów, jest to wrzący kocioł skłóconych egoizmów. Może pod silnem uderzeniem zewnętrznem Francya spoiłaby się znowu; pozostawiona w spokoju rozpada się, łamie, a miejscami i gnije. Jeżeli zaś gdzie owo szyderstwo parska złośliwym śmiechem, to w Berlinie. Wyłączywszy

z rachuby niespodzianki, trudno oprzeć się smutnemu przeczuciu wobec tych dwu stojących przeciw sobie potęg, z których jedna jest olbrzymim stalowym młotem, a druga bryłą zwietrzałej i popękanej skały. Coraz potężniej zwierające się Niemcy i coraz bardziej rozprzęgająca się Francya — oto widok, który zaledwie pozwala się wahać wróżbom, przewidującym koleje przyszłości. Po wojnie przepowiadano, że Niemcy stoczy militaryzm; tymczasem one stoją niewzruszone, a Francyę toczy rozkład wewnętrzny. Być może, iż w Berlinie czekają na dalszy rozwój tego procesu, który oszczędzi wiele pracy karabinom i armatom. Olbrzym zdrów wtedy uderzy, gdy chory sam się wyniszczy.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Włoski minister spraw zagranicznych, Crispi, jeździł do Friedrichsruhe. Nie był to zwykły raport, jaki o tej porze składają ks. Bismarkowi ministrowie państw sprzymierzonych. Spór między Francyą i Włochami o Massawę, a raczej o panowanie nad morzem Śródziemnem, przybrał postać zapalną. Goblet zaprotestował, a Crispi odpisał mu tak, jak człowiek, który — według *Nord. Allg. Ztng* — w jednej ręce trzyma pióro, a w drugiej — miecz. Naturalnie kanclerz niemiecki wdzięczny jest każdemu, kto bodaj szydło wsadza w bok jego nieprzyjaciółki i kto z nią nadrywa stosunki. Tem Germania żyje i od tego tyje; jakkolwiek silna, ostać się może tylko popierana sojuszami; to też rozgromiwszy pół Europy, stara się resztę uwieść zalotami i nagiąć do swoich interesów. Przy jej pomocy Włochy miałyby lekką grę z Francyą, gdyby za nią nie rzuciła swego słowa Rosya. Mianowicie gabinet petersburski oświadczył, że Francya ma słuszność prawną, opierając się zniesieniu kapitulacyi w Massawie. Głos ten wpadł ciężko w uszy Crispiego i Bismarka, obaj więc muszą się poważnie z sobą naradzić. Bujna wyobraźnia reporterów politycznych opowiedziała już, że następstwem tego spotkania będzie kongres, który pod groźbą wojny wezwie Francyę do rozbrojenia się. Niemcy przyzwyczaiły świat do żądań zuchwałych, ale to przerasta chyba ich śmiałość. Bo jakaż dobra racya może usprawiedliwić ów nakaz zwrócony do Francyi? Czemu naprzód nie mają rozbroić się Niemcy? Crispi takiej niedorzeczności swym rozumem przyprawiać nie będzie, porozumiał się jedynie z potężnym sojusznikiem co do sposobu załatwienia spraw bieżących i metody przypiekania sąsiadki. Być może, że minister włoski z tego stosunku osiąga dla swego państwa korzyści doraźne, chwilowe; ale stanowczo przeczymy, ażeby to był człowiek dalekiego wzroku. Przecinanie naturalnych węzłów łączności z pokrewną plemiennie Francyą, a zawiązywanie sztucznych z obcą Germanią — to nie świadczy o rozumie sięgającym w przyszłość odległą. Jeżeli nas nie myli jedynie logiczne przypuszczenie, że narody muszą się grupować według powinowactw szczepowych, to i dla ludów romańskich wskazaną jest droga sojuszów. Tymczasem Crispi zawarł jakieś dzikie małżeństwo polityczne, które ani trwałem być, ani zdrowego potomstwa zrodzić nie może.

Zdaje nam się, że na czole ks. Bismarka osiadła chmura, która na nie padła ze strony wcale nieprzywidywanej. Po odjeździe cesarza Wilhelma z Peterhofu spodziewano się samych serdeczności między dwoma mocarstwami. Tymczasem aż dwa podmuchy rozwiały to złudzenie: postawa Rosyi w sprawie zatargu między Francyą a Włochami i znamienny artykuł *Norda* o usposobieniach duńczyków. Według tego pisma pobyt cesarza niemieckiego w Kopenhadze wcale nie otworzył, jak głosiły dzienniki berlińskie, upustów zapału, ale przeciwnie zbudził drzemiące pretensye i niechęci; między stronnictwami duńskiemi zachodzi tylko różnica w formie wyrażania uczuć, ale cały naród żywi nadzieję odzyskania tego, co mu Prusy wydarły. Był to strumień zimnej wody na głowy schylone przed ołtarzem Bismarka.

Nie postanowiono jeszcze, czy i hr. Kalnoky pojedzie do swego mistrza. Wieść nawet głosi, że będzie miał zaszczyt gościć go u siebie wraz z Crispim. Z Wiednia, jak zwykle, nie dobywa się żaden określony ton polityczny, tylko szmery i szepty drżące, albo też strojenie instrumentu i wyczekiwanie znaku od dyrektora. Dziennikom galicyjskim zakazano pisać nieprzyjaźnie o Rosyi, z czego wypływa wniosek, wyprowadzony zresztą przez *N. Wremia*, że w obecnej porze Austrya nie chce drażnić sąsiadki wschodniej.

Znany dr. Živny wzywa pobratymców na zjazd do Pragi z powodu uroczystości jubileuszowej cesarza austryackiego. Na wiecu tym mialyby być rozpatrzone warunki kulturnego zjednoczenia się słowian na podstawie wspólnego języka ruskiego i religii prawosławnej. *Graždanin* twierdzi, że p. Živny zdradza wielką naiwność, sądząc, że na taki zjazd Austrya zezwoli i że jego idea jest obecnie możliwą do urzeczywistnienia.

Jeńcy (dwaj urzędnicy kolejowi), wykupieni od bandytów bulgarskich opowiadają ciekawe szczegóły o swej niewoli. Włóczono ich związanych, często o głodzie a ciągle pod groźbą śmierci; gdy nadszedł okup, obdarowano upominkami i wycałowano. Banda zamierza dalej urządzać tego rodzaju polowania.

Papież ustanowił nowy... order, przeznaczony dla osób, które zasłużyły się około jego jubileuszu.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY Z NAD BALTYKU.

II.

Przeszłość i teraźniejszość. — Gmachy szkolne. — Uniwersytet dorpacki. — Dane liczbowe. — Politechnika rygska. — Wykłady literatury ruskiej i niemieckiej. — Dalekie projekty. — Wędrowny uniwersytet. — Brak pieniędzy. — Przeciwne wpływy. — Wszechnica w Wilnie. — „Drobna" okoliczność. — Znaczenie politechniki rygskiej dla przemysłu krajowego. — Instytut weterynaryjny w Dorpacie.

Zwiedzającemu Rygę ze szczególnem natręctwem nasuwają się myśli o zmienności obyczajów, potrzeb i upodobań ludzkich. Naprzód w starem mieście rzucają mu się

---

1)

POWÓDŹ

przez

Hermana Heiberga *).

Na morzu Zachodniem leżała niegdyś mała, odkryta wysepka, na której mieszkało nie więcej nad sto dwadzieścia ludzi; ci jednak dzięki pieczy rządu mogli co niedziela słyszeć z ust własnego kaznodziei, w miejscowym kościele słowo boże.

Od niepamiętnych czasów morze bawiło się z brzegiem w łapanego. Przychodziło i uciekało, a ziemia tęskliwie zwracała ku niemu twarz swoją, dopóki fala znowu z szumem nie przypływała, oplukując piaszczyste wybrzeża wyspy, z jasnym, świeżym, zadowolonym uśmiechem, dopóki znowu nie chwytała jej w swe przezrocze, delikatne ramiona.

*) Młody ten autor, wysoce ceniony przez współczesną krytykę niemiecką za kilka zbiorów nowel, odznacza się wogóle zdolnością obrazowania i dosyć rzadkim u niemców realizmem. Zachwytów owych nie podzielamy, ale drugiej z wymienionych zalet oraz wielkiego daru opisowego, którego niniejszy odcinek daje próbkę — zaprzeczyć nie niepodobna. (*Przyp. tłom.*).

Ale pewnej ciemnej nocy powstał szum, z szumu narodził się huk a wówczas przerywana krótkimi, złowrogimi przestankami zagrzmiała potężna burza, i tak zaczęła szaleć, że woda, wicher i nawalnica zmięszały się w jeden straszliwy chaos: trąba powietrzna sunęła po bałwanach i wyspie, aż psy morskie, zdjęte lękiem, głośno zawyły na brzegu, zanurzyły się w pianę i skryły przed rozkiełznaną potęgą natury na dno oceanu.

Przed rokiem stary proboszcz umarł. Teraz mieszkanie kaznodziei zajmował młody jeszcze duchowny z siostrą. Oboje dużo już przeszli w swem życiu, trzymali się więc zdala od wrzawy wielkiego świata a pobyt na tej cichej wysepce z jej czystem powietrzem i prostymi ludźmi uważali za łaskę niebios.

Po śmierci nieboszczyka nie było starających się o miejsce proboszcza. To też kandydatowi Ernestowi Harms z łatwością udało się je pozyskać.

Lianę, siostrę jego, obudził szum idący od morza. Dźwięki te były jej obce. Zdawało się, że to legiony lwów, ocickające wodą, wypłynęły nagle z morza, i żądne krwi z rozwartemi paszczami zapełniają wybrzeże rykiem.

— Erneście! Erneście! — wołała Liana, zapaliła świecę, zarzuciła na siebie okrywadło i otworzywszy drzwi, wyjrzała z swej sypialni.

W tej chwili niby zły duch, przemknął koło niej domowy kot, parsknął jadowicie z pod długich wąsów i utkwił w niej złowrogo swoje żółto świecące ślepie.

Liana cofnęła się przerażona, ale przestrach ten ustąpił przed innym większym, albowiem teraz właśnie wiatr z taką siłą uderzył w dach probostwa, że zatrzeszczało wszystkiemi spojeniami swoich desek i belek.

Chwilę jeszcze stała niezdecydowana, zaraz jednak zdobyła się na postanowienie i świecę migocącą trzymając w ręku, pośpiesznie zbiegła ze schodów.

W połowie drogi stanęła. Przypomniała sobie, że na górze, w izbie nad gankiem, gdzie się suszyła bielizna, okno było niezamknięte; teraz więc zrozumiała, skąd wziął wicher swą piekielną moc nad siłą budowlą. Ażeby zapobiedz nieszczęściu, szybko zawróciła i pobiegła na strych ku niewielkim, zamykanym na zwyczajny klucz drzwiom.

Wahała się jeszcze czy wejść, albowiem z wnętrza dochodził ją szum i łoskot. Wiatr targał otwartem oknem i drzwiami.

Walcząc z zawieją, po omacku dosięgła okna, chwyciła za pręt żelazny, którym burza szarpała, jak gdyby go chciała wyrwać z okna, wyjęła z haczyka, poczem prawą ręką a następnie i lewą z całych sił przyciągnęła ku sobie ramy okienne.

Ale teraz wicher naparł ponownie, jak gdyby zaczerpnął świeżego tchu; z zażartą wściekłością dmuchnął w szyby i niewidzialnemi ramionami przycisnął okno do muru.

w oczy wspaniałe kościoły gotyckie, o kunsztownych wieżach, z których jedna na Petri-Kirche jest dziś najwyższą w świecie budowlą drewnianą, ich nietykalne mury tu i owdzie upstrzone żelaznemi lub kamiennemi kulami dział. Wewnątrz — pomniki biskupów i rycerzy, oraz mnóstwo herbów szlacheckich. Od tych surowych, ponurych zabytków przeszłości wieją do nas szeregi wspomnień, oświeconych ogniem zniszczenia, obryzganych krwią, pełnych dźwięku żelaza i skarg. Inne myśli nastręczają wspaniałe gmachy czasów nowych. Tutaj ostrołukowy gotyk, strzelający w górę do niebios, zastąpiły inne style, wykazujące więcej ciążenia ku ziemi; bo też gdy tamte jeno troska o chwałę boską wzniosła, te powstały dla zaspokojenia ziemskich potrzeb człowieka; natomiast gdy tamto powstały zwiększając brzemię, krzyż, który ludność dźwigała, te pragną ciężaru ulżyć człowiekowi, pozwolić mu podnieść się na stanowisko sobie odpowiednie w przyrodzie, gdzie wszakże nauka wyznacza mu miejsce w dziale *homo sapiens*, charakteryzującym się głową do góry podniesioną.

Pomijając wspaniały gmach w stylu odrodzenia, mieszczący giełdy i dzielną w sprawach przemysłu i handlu ryskiego instytucyę — komitet giełdowy, reszta najpiękniejszych budynków — są to świątynie nauki. A więc politechnika, gimnazyum męzkie, żeńskie, t. zw. *Bürger-Schule*, szkoły ludowe, miejskie itp.

Powyższe zjawisko cechuje nie jedną tylko Rygę. Inne miasta nadbałtyckie również składają dowody dojrzałości w tym względzie obywatelstwa tutejszego, które umiało korzystać z przywilejów swego samorządu na rzecz krajowego szkolnictwa.

Z trzech zakładów wyższych, istniejących w kraju tutejszym, pierwsze miejsce zajmuje uniwersytet dorpacki, utrzymywany przeważnie kosztem skarbu. Wszechnica ta pod względem sił naukowych zajmowała pierwsze miejsce w Rosyi, jak o tem świadczą licznie dawniej przybywający tutaj rosyanie i stały jej związek z zagranicą. Ciekawą ocenę tej *almae matris* podał w swych pamiętnikach słynny lekarz, ongi kurator kijowskiego okręgu naukowego. Pirogow (*Russkaja Starina*). Jeszcze w roku bieżącym przedstawiciel petersburskiej Akademii nauk w urzędowej mowie nazwał tę szkołę karmicielką owej Akademii. Obecnie w łonie senatu uniwersyteckiego mają panować rozterki dwóch stronnictw: zagranicznych przeważnie profesorów, oddanych w zupełności nauce, i miejscowych, wychowańców dorpackich, którzy działalności swej chcieliby nadać zabarwienie polityczno-nadbałtyckie. Prąd reform państwowych obejmuje i uniwersytet. Przekształcenie lub zamknięcie dorpackiego uniwersytetu jest oczywiście tylko kwestyą czasu; kurator już proponował profesorom trzechletni termin dla nauki języka państwowego; wszyscy (?) jednak mieli z góry odmówić swej na to zgody. Reforma sądownictwa nadbałtyckiego stanowi o losie tego wydziału w wszechnicy; dotychczas jeszcze wykłady odbywają się w języku niemieckim. O działalności uniwersytetu świadczą następujące dane liczbowe z roku zeszłego: Na pięciu wydziałach nauczało 74 osób (z tych 45 profesorów); słuchaczów uczęszczało 1619, z tych 858 studyowało medycynę. Patentów rozmaitych wydano w ciągu tego roku 373 osobom. W tej liczbie 86 stopni rzeczywistego studenta, 57 — kandydata, 8 — magistra, 18 — doktora, 60 — lekarza; pozostałe udzielono aptekarzom, dentystom, nauczycielom itd. Księgozbiór posiadał 161,893 tomów dzieł, oraz 85,422 rozpraw. Co do żywiołu polskiego, to w gronie profesorskiem reprezentuje go znany lingwista Baudouin de Courtenay, oraz znaczna liczba studentów, którzy tworzą oddzielne koło. Społeczeństwo nasze liczy wielu dzielnych obywateli pośród byłych wychowańców dorpackich, dziś przeważnie lekarzy, jak np. Chałubiński, Baranowski. Politechnika ryska ma 7 wydziałów: 5 technicznych, oraz handlowy i agronomiczny. Jest to twór obywatelskiej działalności mieszkańców nadbałtyckich. Na jej kosztowne powstanie i utrzymanie łożą: szlachta trzech guberni, wiele miast, komitety giełdowe i inne instytucye. W r. z. obchodziła Politechnika 25-letni jubileusz swego istnienia i wówczas najdonaślej zaznaczył się żywy udział kraju w sprawie tej szkoły. W r. 1887/8 nauczało w Politechnice 48 osób, w tej liczbie 16 profesorów. Studentów było 863; w tym względzie ryska Politechnika przodując wszystkim innym niemieckim zakładom technicznym. Dyplomy ukończenia nauk otrzymało 48 słuchaczów. Liczba polaków wynosi przeszło dwustu. Należą oni w przeważnej liczbie (170) do dwóch stowarzyszeń. O reformie Politechniki dotąd nic nie słychać. W zeszłym roku wywieszono ogłoszenie o mających nastąpić, na żądanie kuratora, wykładach literatury ruskiej (*facultativ*); towarzyszyło temu ogłoszeniu drugie o wykładach literatury niemieckiej.

Słów jeszcze kilka o reformie tych dwóch zakładów naukowych. Istniał w swoim czasie projekt przeniesienia uniwersytetu dorpackiego do Pskowa. Oczywiście wymagałoby to znacznych ofiar pieniężnych ze strony rządu i bez najmniejszego rezultatu. Psków i Dorpat mało od siebie odległe; przytem projektowana nowa rezydencya jest małem miastem, nieposiadającem bynajmniej tak obszernej inteligencyi, ażeby około dwutysiączne grono młodzieży uledz mogło jej wpływowi. Na ogół sądzimy, że nawet wpływ profesorów w tym względzie zostaje przecenianym. Pewne względy nadają charakter rutyny wykładom profesorów, trzymają je ściśle w ramach programu, nie zawsze bezpośrednio nawiązującego nici z życiem codziennem coraz to nowymi jego potrzebami i zagadnieniami. Przecież przykłady ostatnich czasów świadczą, że i w „centralnych" miastach studenci zdradzają dążności, które w żadnym razie ani wyrazu, ani źródła swego w profesorskich wykładach znaleźć nie mogły... Obecnie powstał zamiar przesiedlenia wszechnicy dorpackiej do Wilna. Tutaj już inne okoliczności wchodzą w grę. Istotnie, guberniom zachodnim dotkliwie daje się odczuwać brak tego rodzaju instytucyj. Wreszcie całokształtowi administracyjnej decentralizacyi kraju, wchodzącego w skład wileńskiego generał-gubernatorstwa braknie tego organu. W każdym razie daleką jeszcze jest chwila, w której przypuszczenie powyższe przeistoczyłoby się w fakt rzeczywisty, przedewszystkiem bowiem *nervus rerum* — pieniądz ciąży na szali, a wszak obecnie nie łatwo o niego. Jeszcze z jedną okolicznością, zwykle pomijaną, winni liczyć się gazeciarscy "błyskawiczni" reformatorowie. Jest nią — brak sił naukowych, które cudzoziemców zastąpić by mogły. Na tego rodzaju nadprodukcyę i obecne uniwersytety ruskie bynajmniej skarżyć się nie mogą, szczególniej po wyłonieniu z siebie ciała

---

Znowu na strychu rozległo się złowróżbne miauczenie kota. Liana mimowoli zatrzymała się. Gdy jej dłonie na nowo chwyciły za ramy, złośliwa potęga z boku natarła na dom. Włosy dziewczęcia rozwiały się w kosmyki, a wicher tak gwałtownie przyparł ją do okna, że straciła równowagę i osunęła się na ziemię.

Ręce jej były poranione; czuła jak ciepła krew sączy się z palców. Jeszcze nie ochłonęła z przerażenia a już zasłyszała nową wrzawę, która samą burzę zagłuszyła, a ją do reszty pozbawiła odwagi. Skamieniała z trwogi, odeszła od okna i tuląc się do ściany, drżąca, nadsłuchiwała połączonego turkotu niezliczonej liczby ciężko ładownych wozów, wolno posuwających się po jakimś sprężystym moście. Obok nich, zdawało się jej, że widzi stada lwów, z rozwartemi rykiem paszczami.

Cóż to było? Liana nie pytała o nic. Zgroza przejęła ją. „To morze, morze! o już idzie tutaj!"—krzyknęła, rzuciła się ku drzwiom, namacała klucz i rozpaczliwie szarpnęła nim.

Ale klucz nie poddawał się, jakkolwiek naciskała go i rwała na wsze strony.

„Boże wszechmocny, bądź mi miłościw!" — wyjąknęła i zaczęła bić pięściami w drzwi. A tymczasem oblegała ją w szczupłej izdebce burza, która tutaj znalazła widocznie bezpieczne schronisko, by módz tem pewniej prowadzić dzieło zniszczenia.

Chciała wołaniem przedrzeć świst nocy, płakała i jęczała; wreszcie odskoczyła w tył i uderzyła całą krzepką swą postacią we drzwi. Te ani drgnęły, jak gdyby z żelaza zbite.

„Pomocy! ratunku!" Raz jeszcze Liana uderzyła sobą w ten odzielający ją od reszty świata mur z taką siłą, że ramię boleśnie stłuczone spuchło.

Lecz ból i przerażenie pierzchły wobec troski o Ernesta. Wyszedł on późnym wieczorem z domu dla oddania komuś duchownej posługi i teraz zapewne wraca. A tu morze żarłocznie kłębi się już nad całą wyspą! Jeżeli go w drodze pochwyci! Co się stanie z nim?

Ach, teraz słychać wyraźniej, jak nozdrza potworu parskają żądzą zemsty. „Litościwy, wiekuisty Boże! mniej nad nim miłosierdzie!" Liana nie myślała już wcale o sobie.

I wtedy przyszła jej do głowy myśl straszna, ale rozpacz i miłość wlały w nią nowe siły. Pobiegła do okna, stanęła na niem, podgarnęła suknię, wyprostowała się aż do górnej futryny, chociaż wicher dwukrotnie odrzucał ją wstecz, i znikła w mrokach nocy.

Niebo czuwało nad nią! Więc upadła na grunt miękki i wilgotny; ta sama potęga natury, co ją zgładzić chciała, chwyciła upadającą w zbawcze swe ramiona.

Liana podniosła się, biczowana potokami deszczu, i pomknęła do domu. Otworzyła drzwi od pokojów brata i zawołała nań po imieniu. Żadnej odpowiedzi. Może poszedł na górę, szukając jej? Ale czy wogóle wrócił już?

Biegnie więc na schody i słucha! Nic. Tylko wicher wyje. Teraz strach ją zdjął przed kotem, przed samotnym płomykiem świecy, przed okropną pustką, z której się dopiero co wydostała; groźne żywioły zamieniły się dla niej nagle w żywo istoty z dymiącymi językami i wijącemi się, jak węże, ramionami.

Stała tak, trzęsąc się ze strachu i niepewności. Kolana jej drżały, serce bić przestało! Ogarnęła ją owa straszliwa trwoga bezporadności i opuszczenia; zostaje sama bez pomocy i ratunku, ażeby być pochłoniętą przez falę — taka myśl czepia się jej mózgu. Świeca stała na tem samem miejscu. Płomień chwiał się gwałtownie, jak gdyby chciał lizać łakomym językiem drzewo i wiązania i wszystko pożreć. Tak, świecę trzeba stąd zabrać!

„Huau! huau! au, au!" — miauknął kot i rzucił się raptownie, jak gdyby wystraszony jakąś niewidzialną siłą, ku Lianie, omal nie skoczył przez nią, i w szalonych susach popędził w dół. Struchlała, mimowoli przycisnęła ręce do serca. Brakło jej tchu. A gdy odzyskała męztwo i podniosła świecę—burza wtedy osłabła maluczko—dał się słyszeć plusk pierwszych fal; czuła wyraźnie, jak zbliżał się szum — od dołu ku murom probostwa.

A więc w drogę! Teraz idzie o życie! Albo jaknajrychlej do pobliskiej wyniosłości, na której stoi kościół, albo też oczekując pomocy, otworzyć tymczasem wrota.

Zwawiej! Uciekać! Myśli jedna drugą gonily w jej mózgu. Lecz kto się obejrzy na

nauczającego dla uniwersytetu w Tomsku. Trzecim z kolei wyższym zakładem naukowym kraju nadbałtyckiego jest Instytut weterynaryjny w Dorpacie, zupełnie już zreformowany na modłę charkowskiego. Dość liczni studenci polacy utworzyli tutaj stowarzyszenie.

A. Rosset.

SPRAWY EKONOMICZNE.

UŻYTECZNOŚĆ BANKU WŁOŚCIAŃSKIEGO*).

I.

W przewidywaniu następstw społeczno-ekonomicznych, jakie dla kraju naszego mieć może Bank włościański, opinia zachowuje się wstrzemięźliwie. Większość uważa go za instytucyę pożyteczną, mniejszość wyraża niejakie wątpliwości.

Oddając zasadzie Banku należne uznanie, chcemy tu wypowiedzieć kilka uwag krytycznych o jej punktach szczegółowych.

Przedewszystkiem mniemamy, że napotka on trudności, wypływające z charakteru ludu wiejskiego, mianowicie zupełną niechęć do zawierania umów, których natura opierać się powinna na zbiorowym współudziale pewnej grupy uczestników. Kupno przestrzeni, do większej własności należących, wtedy najkorzystniej wypadałoby dla nabywców, gdyby przystępowały do niego grupy drobnych rolników z celem prowadzenia gospodarstwa na rachunek wspólny i zbiorowemi siłami. Gdyby uprawa naszych gruntów, warunki ekonomiczne i umiejętność wytwórców stały na wysokości systemów, zwanych intensywnymi, drobne, kilkomorgowe działki miałyby racyę bytu, bo ich gospodarstwo, prawie ogrodowe, zapewniłoby utrzymanie jednej rodzinie. Ale przy ubóstwie gospodarstw, zwłaszcza tych, które będą przedmiotem dzielenia, przy bardzo pierwotnym sposobie eksploatacyi ziemi ludu wiejskiego, rozłamanie ziemi na drobne, odosobnione kawałki nie wzbogaci ani posiadaczów, ani zamożności krajowej. Będą to osady, wyzyskiwane nieumiejętnie, z dnia na dzień, pod grozą głodu i klęsk losowych i ani duchowo, ani materyalnie nie podniosą przyszłych właścicieli gruntów, nabytych za pomocą Banku włościańskiego. Jak wogóle nie widzimy dobrej przyszłości dla rolnictwa działającego samopas, gdyż tylko ześrodkowanie działań, spotężnienie przedsiębiorstwa drogą pracy zbiorowej może zapewnić byt trwały gospodarstwu, tak w wypadku, gdy rozdrobnione grunty, z zasady najlichsze, znajdą się w ręku lichych gospodarzów, możemy z góry przewidzieć kulawe lub ujemne rezultaty, jakie wyda ziemia, w tych warunkach uprawiana. Rozumiemy nietylko korzyści, lecz i konieczność reformy, w którejby ludowi wiejskiemu największy przypadł udział w posiadaniu ziemi: ale niechże ta przemiana odbywa się zgodnie z przyrodzonymi warunkami otoczenia, niech podstawą eksploatacyi będzie siła, zamiast słabizny, odporność, jaką daje stowarzyszenie, zamiast rozbitej na atomy pracy biednego chłopa.

Pragnieniom tym jednak stoi na przeszkodzie charakter naszego ludu. Chłop polski na swój sposób chce być szczęśliwy. Nie posiadając uzdolnień organizacyjnych, nieufny z natury, nie rozumiejąc, jaką olbrzymią dźwignią jest stowarzyszenie, ani chce słuchać o urządzeniach, w których wspólność usiłowań i zasad tworzyć by miała podstawę posiadania. Indywidualizm taki ma bez zaprzeczenia pewne strony praktyczne, ale zastosowany w drobnem przedsiębiorstwie rolnem więzi siły rozporządzalne i z konieczności staje się niewolnikiem wielkiego przedsiębiorstwa, wielkiego kapitału.

To też nie zapoznając korzyści, płynących z takiego układu stosunków, w których największa ilość ludności bezrolnej posiada własny szmat ziemi, nie możemy go uznawać za trwały, ostatecznie zadaniom społecznym odpowiadający i zapewniający dobrobyt, gdyż przelotne istnienie jednostek nie daje rękojmi na przyszłość. Co innego przy posiadaniu zbiorowem. Tu nietylko powstaje możność gospodarowania według systemów, jakie agronomia dzisiejszemu rolnictwu zaleca, ale nadto wytwarza się siła moralna, kiełkuje i rozszerza się idea obywatelskości, lud z bierności i ciemnoty przechodzi w szersze i jasne szranki życia.

Spojrzyjmy na chłopa ruskiego, a odrazu zrozumiemy, jak wielką siłę dało mu stowarzyszenie. Nie dorównywa on polskiemu pod niejednym względem, nie ma tak fanatycznego przywiązania do ziemi, ale jako czynnik ekonomiczny bez porównania stoi wyżej. I dlatego, ubolewając nad powyższą różnicą, sądzimy, że Bank da życie nowym istnieniom o wielce jednak wątpliwej przyszłości, gdyż większość uspołecznionych obywateli w krótkim czasie stanie się ofiarą nędzy i lichwy.

Co się tyczy samego Banku, jego organizacyi i środków rozporządzalnych, to poznanie ducha ustawy wskaże, w czem spoczywa jego pożyteczność, w czem strony ujemne.

Te ostatnie dostrzegamy w dwu punktach: pierwszym jest nadzwyczajna ograniczoność środków finansowych „dla przyjścia z pomocą włościanom wszelkich nazw;“ drugim—zbyteczny fiskalizm przepisów.

Zasadniczą różnicę między bankami w Cesarstwie a tutejszym tworzy wysokość ich kapitału zakładowego. Chociaż tam coroczna emisya świadectw Banku włościańskiego określona jest na pięć milionów rubli, to jednak wolno ją podnieść, byle tylko minister skarbu wyjednał na to w drodze właściwej upoważnienie. Tym sposobem działalność instytucyi nie jest krępowaną brakiem funduszów i w miarę działania, czyli w miarę przedstawianych żądań o pożyczkę, Bank może czynić im zadość. W Królestwie prawo ściśle określa wysokość kapitału, którego natura przytem jest odmienna. Mianowicie, 75% pożyczki dostarcza państwo, 15% zaś pieniędzy potrzebnych do uskutecznienia kupna — pozostający w dyspozycyi Banku fundusz użyteczności publicznej. Otóż ta część dyspozycyjna stanowi o wysokości całego kapitału zakładowego. Wiadomo, że po rozmaitych przeznaczeniach, jakie nadano pierwotnemu funduszowi użyteczności publicznej, pozostało z sumy ogólnej przeszło dwa miliony rubli, z których dwa miliony przelano do kasy Banku. Rozporządza on więc sumą 12,000,000 rubli — prócz dopłaty od

*) W sprawie tej już pisaliśmy; podajemy wszakże głos nowy, oświetlający ją ze stanowiska odmiennego. *Red.*

---

nią w ogólnym popłochu, trwodze i rozpaczy? Jeden z pewnością! Jej brat Ernest! Ale czy będzie jeszcze mógł przedostać się do niej! A jeśli nawet — to czyż nie są oboje zgubieni?

Gdy zeszła chwiejnym krokiem ze schodów, spotkała się znowu oko w oko z kotem. Siedział skulony i skurczony ze strachu na najniższym stopniu. Bał się wody, która przez źle domknięte wrota przeciskała się na dziedziniec. Widziała to i Liana, ale odwaga nie porzucała jej. Litościwie wzięła kociaka na rękę, a w drugiej trzymając świecę, szła naprzód przez wodę.

W tej chwili wicher z taką siłą uderzył w budynek, jak gdyby chciał go zdmuchnąć na podobieństwo domku z kart, a w szalonym wirze powietrza świeca zagasła.

Teraz kociak zaczął się wpijać pazurami w suknię, a potem i w ciało Liany. Skaleczona boleśnie, daremnie usiłowała oderwać od siebie zwierzę. Kot jeżył się, aż wreszcie posłuszny niezawodnemu podszeptowi natury, zeskoczył sam na ziemię i pobiegł na schody.

A cóż dalej?

Liana przebiegła wodę, otworzyła drzwi do gabinetu brata, idąc omackiem wzdłuż ściany, natrafiła na gwóźdź i zdjęła wiszący na nim klucz od kościoła. Potem zajrzała do kuchni. Ach! jak straszliwie ryczało morze, jak potężnie waliły fale o tylną ścianę domostwa! Drżącą ręką zapaliła świecę w latarce — w gorączkowym pośpiechu odszukała kawał chleba, znalazła gdzieś niedojedzoną szynkę — i skierowała kroki napowrót ku wrotom.

Gdy wyszła, otoczyły ją szumiące bałwany. Zawieja szarpała jej odzież, znęcała się nad ciałem; i dopiero wytężywszy wszystkie siły, walcząc z wichurą i wodą, dziewczę zdołało dotrzeć do poblizkiego pagórka i wedrzeć się na jego wierzchołek.

Stanęła u drzwi kościelnych, wolną dłonią schwyciła za klamkę i silnie trzymając się jej, rzuciła dokoła badawcze spojrzenie. Straszny, dreszczem przejmujący obraz! To już nie walka, ale opętany taniec żywiołów. A w oddali tak spiętrzone fale, że zda się, światło naokół rzucają. To drugi potop! Liana patrzyła na góry wodne o śnieżnych grzbietach, a między nimi i ponad nimi huczała burza, wszystko prująć, podrzucając i tnąc w kawały.

Hu, hu, hu. S-s-ss. Ss-s-s-sss! Brr-Raau! syczało i wyło w powietrzu, a czeladź rozkiełznanych żywiołów, świszcząc i kotłując się, waliła w mury kościoła.

Dokoła mrok, burza, wściekłość wód, zniszczenie! — tu zaś jedyne samotne dziecię ludzkie, zamierające od strachu i zgrozy!

Czyżby tam dalej wieś już zatopiona była, spłukana z powierzchni ziemi jak piasek i piana?

Liana skwapliwie zakręciła klucz w zamku, otworzyła drzwi i wpadła do kościoła.

Byłoż to możebnem? Tu panowała cisza grobowa. Odgłos jej kroków ponuro zakłócał spokój tej sennej, zapomnianej przestrzeni. Jedynie duchy zdawały się szeptać ciche swe modlitwy, a światło w latarni to wybuchało trwożliwie, to znowu kurczyło się.

Wzdłuż ławek kościelnych biegała Liana do ołtarza. W jakim celu? Czyniła to jak człowiek, który obrawszy sobie nieznane siedlisko, bezwiednie szuka środka lub miejsca, z któregoby mógł śledzić okolicę i czuwać nad własnem bezpieczeństwem. Ale czy to straszliwy huk, który z zewnątrz uszów jej dochodził, ogłuszał ją i onieprzytomniał, czy też łoskot nawałnicy w rzeczy samej wzmógł się naraz, dosyć, że gdy padała na stopnie ołtarza, świątynia zdawała się drżeć w swych posadach. Liana czuła, że traci równowagę; daremnie usiłowała być panią siebie. Naprożno! Serce uderzało tak gwałtownie, że...

Wtem jakiś przedmiot twardo i hałaśliwie spadł na ławkę kościelną. Czyżby się duchy starego budynku ocknęły? Tynk lub sztukateryc musiały się zapewne oderwać od gotyckiego sklepienia. Ze ściśniętem z przerażenia sercem dziewczę złożyło ręce i zaczęło się modlić.

Myśli jak ptactwo jesienne latały po jej głowie. Modliła się mechanicznie. Już trzy razy rozpoczynała „Ojcze nasz,“ a teraz oto wargi znowu szeptały: „Ojcze nasz, któryś jest w niebie.“ Gdy doszła do słów: „ale zbaw nas ode złego“ — zmartwiała. Pamięć nagle ją opuściła. I znowu zaczęła: „O mój drogi Erneście, mój kochany Erneście! Ojcze nasz, któryś jest w niebie.“ Byłoż to pomieszanie zmysłów, byłaż to niemoc ducha, co ją teraz owładnęła... (D. n.).

pragnących nabyć grunty a oznaczonej na 10% szacunku — sumą na pozór poważną, ale zaledwie w dziesiątej części mogącą pokryć żądania. Jak to już bowiem wykazano gdzieindziej *), przestrzenie, które własność ziemska może poddać parcelacyi, oraz wysokość potrzeb ludności bezrolnej i małorolnej pokryte być mogą do pewnej miary jedynie sumą 112,500,000 rubli. Jeśli kto zarzuci, że zakreślanie instytucyi tak obszernych celów, żądanie, ażeby zadowoliła ogół zapotrzebowań i ostatecznie rozstrzygnęła sprawę proletaryatu rolnego, jest przekraczaniem granic możliwości i że należy podjąć reformę, a resztę pozostawić czasowi — odpowiemy, że wielkie zadania społeczne i rolne nigdy połowicznymi środkami rozwiązać się nie dadzą, co więcej, takie cząstkowe lekarstwo nie leczy nikogo, lecz utrzymuje w ciągłem rozdrażnieniu i niezadowoleniu interesowanych. Jaką drogą dochodzi się do kolonizacyi, zamierzonej w pewnych celach i dla pewnych warstw ludności, nauczyli nas niemcy. Gdy postanowili wydrzeć polakom resztki ich ziemi ojczystej, na trzykroć od Królestwa mniejsze Ks. Poznańskie rzucili 100,000,000 marek! Z prawdziwą przykrością robimy tu podobne zestawienie, bo ubliżeniem byłoby porównywanie dążeń Banku włościańskiego z rozbojem pruskim; tylko ze względu czysto finansowego pragniemy wykazać, jakim powinien być stosunek kapitału zakładowego instytucyi do wysokości przypuszczalnych potrzeb reformy.

Odnośnie do naszych stosunków wzgląd ten tembardziej powinien być brany pod uwagę, że obecnie ludowi polskiemu jedną tylko drogą przynieść można pomoc. Potrzebuje on ziemi—wypływa to z jego charakteru, zajęć, usposobień i zamiłowań. Chłop nasz do niczego dziś nie jest zdolny, prócz do pługa. Mówimy o przemyśle wiejskim, rozumiemy jego doniosłość i zapewne w tym kierunku reforma byłaby wielce pożądaną; ale nim przeprowadzenie jej stanie się możliwem, upłyną lat dziesiątki i zużyją się siły olbrzymie. Z gruntu przemienić należy charakter wieśniaka, dać mu oświatę i wykształcenie specyalne, postawić przedsiębiorstwa przezeń prowadzone na tym stopniu niezależności materyalnej, żeby nie padły odrazu pod naciskiem kapitału, a wtedy dopiero zdołamy oderwać go od pracy jednostronnej, wtedy otworzymy mu szersze źródła zarobkowania.

Skoro więc na teraz reformy rolne są jedynym punktem wyjścia w tym kłopocie, nie możemy ich oceniać powierzchownie, a już istniejące lub wprowadzane podnosić do znaczenia urojonego. Bank włościański — to dopiero krok pierwszy na drodze zapewnienia przyszłości ludu, wzór, według którego można tworzyć instytucye kredytowe, czy parcelacyjne, lub też korzystać z już istniejących. Mówiąc to, mamy na myśli Towarzystwo Kredytowe Ziemskie, które, na mocy uzupełnień ustawą z 1879 r. postanowionych, może skutecznie dopomagać do drobienia gruntów, w posiadaniu własności większej będących, a tem samem na szerszą skalę rozwijać pożądaną reformę. Tu już nie potrzeba zmiany ustawy, lecz zmiany ducha ludzi, stojących na czele instytucyi.

Ale sprawą tą obecnie zajmować się nie będziemy, gdyż nas obchodzi jedynie Bank włościański.

Rozpatrzmy teraz, jaką jest treść niektórych paragrafów jego ustawy w ich zastosowaniu praktycznem.

(D. n.)

NOWE ŹRÓDŁO ZBYTU DLA ROLNIKÓW.

Nadarza się rolnikom sposobność poprawienia interesów za pomocą nowej drogi zbytu — dostawy zboża dla wojska. Kilka razy podnoszony w intendenturze ministeryum projekt porozumienia się z właścicielami ziemskimi i gromadami wiejskiemi, obecnie przychodzi do skutku. Obliczono, iż przy systemie dostaw zboża przez pośredników skarb ponosi ogromne straty. Dla szczegółowego rozpatrzenia tej kwestyi, wyznaczono komisyę. Opracowała ona szczegółowy projekt, który sposobem próby ma być zastosowany na rok przyszły w kilku guberniach środkowych. Dostawa ma się odbywać do magazynów okręgów wojennych: wileńskiego, warszawskiego, kijowskiego, moskiewskiego i odeskiego. Prawo zaofiarowania dla wileńskiego będą posiadali obywatele gubernij: tambowskiej, penzeńskiej, saratowskiej, riazańskiej, orłowskiej, smoleńskiej, połtawskiej, wileńskiej, mińskiej, mohylewskiej, witebskiej i grodzieńskiej. Dla warszawskiego: tambowskiej, penzeńskiej, saratowskiej, riazańskiej, orłowskiej, kurskiej, wołyńskiej, smoleńskiej, mińskiej, grodzieńskiej, czernihowskiej, mohylewskiej, warszawskiej, płockiej, lubelskiej. Wytwórcy będą zawiadomieni przez właściwe rządy gubernialne o ilości prowiantu potrzebnego i o cenach, podanych na pierwszej licytacyi przez stawających do dostawy pośredniczej, z wymienieniem *maximum* i *minimum* cen zadeklarowanych, oraz przyjętych i zatwierdzonych. Ceny ziemian podlegają zatwierdzeniu rady wojennej. Gdyby podaż ze strony wytwórców powyższych gubernij była większą nad ilość oznaczoną, pierwszeństwo otrzymają te gubernie, których oferty będą najkorzystniejsze. Przy równości cen w kilku guberniach, będzie dokonywany podział, który musi być zatwierdzony przez radę wojenną. Podział między rolnikami jednej gubernii, dla których ceny uzyskają zatwierdzenie, ma być dokonywany przez nich samych. Po zatwierdzeniu cen i podziału, interesowani otrzymają zawiadomienie o postanowieniach rady wojennej przez właściwych gubernatorów, poczem w ciągu dwóch tygodni powinni dostarczyć do intendentur okręgowych poręczenia, oraz odpowiedni stempel w celu napisania umów z uwzględnieniem podziału przez nich samych dokonanego.

Powyższe przepisy ogólne wyjaśnią poniekąd postanowienia specyalne, wydane na r. 1889 dla gubernij: tulskiej, orłowskiej, kazańskiej i mińskiej co do dostawy prowiantu, i dla woronezkiej co do dostawy prowiantu i owsa. Obywatele ziemscy i gromady włościańskie będą mogły podejmować się dostaw w swojej gubernii bez licytacyi na następujących warunkach: Dostawa ma być dokonana podług cen ogólnych w całej gubernii, dla każdego produktu oddzielnie, lub też podług cen szczególnych dla oddzielnych powiatów, również oddzielnie dla każdego produktu. Specyalny przepis dotyczy magazynów gubernialnych i bobrujskich, w których potrzeba roczna wynosi przeszło 5,000 czetwerti. Zaopatrywanie tych magazynów może być dokonywane częściowo po 5,000 czetw. mąki i kaszy, z zastrzeżeniem, aby dostawa do innych miejscowości tegoż samego powiatu nie była dopełniana oddzielnie i aby zachowano ogólne ceny danego powiatu. Do magazynu w Mińsku dostawy mogą być dokonywane przez obywateli i gromady włościańskie gub. mińskiej tylko o tyle, o ile nie będą przyznane ziemianom innych gubernij, na mocy ofert, korzystniejszych dla skarbu. Dla ułatwienia dostawy ziemianie mogą się łączyć z sobą, ale tylko jeden pełnomocnik może stawać do zawarcia umowy i obrachunku z intendenturą. Odpowiedzialność przed skarbem za straty spada na wszystkich uczestników. Zmiany, wywołane potrzebą wojsk i porównaniem posiadanych zapasów, muszą być objawiane przed ostatecznem zawarciem kontraktów. Otrzymawszy objaśnienia z intendentury, ziemianie i gromady włościańskie składają najpóźniej do 27 września r. b. oferty z wyrażeniem cen ogólnych. Najmniejsza ilość prowiantu, na jaką umowa zawartą być może, wynosi 800 czetw. żyta, kaszy i owsa razem, lub też 800 czetw. jednego z wymienionych produktów. Każda dostawa musi być zabezpieczona ze strony podawcy kaucyą 20% ryczałtowej sumy. Mogą być one składane w papierach publicznych, albo też zabezpieczone na dobrach lub zbożu. Przedstawiający kaucyę hypoteczną winni złożyć następujące dowody: świadectwo urzędu powiatowego o przestrzeni dóbr, ilości zasiewu i zbioru, świadectwo co do obciążeń i długów, tudzież wykaz zaległych podatków państwowych i gminnych. Po obliczeniu obciążeń określa się istotna, wolna od ciężarów wartość majątkowa, która stanowi razem o *maximum* dostawy. Przy składaniu kaucyi w zbożu, w kopach lub śpichrzu, do powyższych dowodów dołączona być musi polisa ubezpieczeniowa na zboże stanowiące ewikcyę, przyczem do obrachunku przyjmowaną będzie za zboże w śpichrzach połowa sumy ubezpieczeniowej, a za zboże w kopach — czwarta część. Dostawcy mogą pobierać zaliczenia należności za pierwsze partye produktów na kaucye, o ile te należności wynoszą 20% sumy ogólnej. Przy pierwszem uchybieniu warunków, dostawca traci swe prawa i płaci umówioną karę. Gromady włościańskie, oprócz przytoczonych wyżej sposobów, mogą dawać zabezpieczenia drogą uchwał i poręczeń gromadzkich, oraz przez poręczenie ze strony zgromadzeń powiatowych ziemskich (ten ostatni środek nie rozciąga się na Królestwo Polskie).

Jak widzimy, sporo jest do wykonania formalności, które na wielu rolników, nawykłych do załatwiania interesów z Ickiem lub Herszkiem w gabinecie, może podziałać zniechęcająco. Są wszakże pewne udogodnienia. Aby uniknąć dalekiej jazdy, kosztów i straty czasu, kontrakt z intendenturą w razie żądania może być przysłany do miejsca zamieszkania dostawcy, kwity nadzorcy magazynu — pocztą, wypłata — w najbliższej kasie powiatowej. Ważniejsze czynności może załatwić pełnomocnik. Drugiem ważnem udogodnieniem są zaliczki, wydawane dostawcom przy zawarciu kontraktu lub później do wysokości $1/3$ wartości dostawy na zastaw papierów procentowych lub dowodów depozytowych Banku handlowego albo dyskontowego z sześciomiesięcznym terminem. Wyrobiwszy sobie w jednej z tych instytucyj kredyt do wysokości 1,000 rs., interesowany może dostać na otrzymany dowód depozytowy taką samą sumę z intendentury jako zaliczkę, następnie znów uzyskać dowód depozytowy lub obrócić wprost gotówkę na bieżące potrzeby. Tym sposobem pożyczka bankowa staje się bezprocentową, gdyż składane do banku pożyczki procentują i pokrywają odsetki, opłacane Bankowi od pierwotnego kredytu. Przy obrachunku z intendenturą zaliczka strąca się z należności, bez procentu, z zastrzeżeniem, aby pozostawało zawsze w rękach dostawiającego nie więcej nad $1/3$ wartości dostawy. Całkowita wypłata następuje w dwa tygodnie po złożeniu kwitów nadzorcy magazynu, jednakże zwykle asygnacye mogą być odebrane w ciągu 3—4 dni, jeśli w tym czasie nie wypadną święta. Przy zabiegliwości pełnomocników odbiór pieniędzy żadnej zwłoce nie ulega, a przy dostawie wcześniejszej w razie wyrobionego kredytu — płaci się natychmiast. Pomijamy wiele innych (chociaż dość ważnych) warunków, które będą wyjaśnione naszym rolnikom przy zawiązaniu interesu z intendenturami.

*) *Kur. warsz.* nr. 212 i 213.

BADANIA NAUKOWE.

GAWĘDY FILOZOFICZNE.

Czy istnieją ludy bezreligijne? — Odpowiedź Vinsona. — Co myśli o tem Quatrefages. — Bóg andamańczyków. — Bastian — ofiarą francuzów i bożyszczem Gumplowicza.—Historya religii *ex cathedra*.— Podręczniki do niej. — Müntz z filipiką przeciw pesymizmowi. — Zepsucie uczniów Sokratesowych.

Jak gdyby na pożegnanie sezonu pracy u wrót okresu posuchy i próżniactwa, czerwcowy zeszyt wiecznie ożywionej *Revue philosophique* Ribota przynosi swym czytelnikom wiązankę świeżych a zajmujących sprawozdań. Lwia ich część przypadła w udziale ostatnim zdobyczom na polu dziejów i filozofii religii.

Spotykamy się tu z takiemi nazwiskami jak Quatrefages'a, Bastiana i innych, więc chyba grzechem byłoby pominąć je milczeniem. Znajdujemy tu zresztą ciekawe zagadnienia, a pomiędzy niemi jedno stare ale zawsze jare: czy istnieją ludy pozbawione całkiem wszelkich pojęć religijnych i praktyk? Kwestya ta roznamiętniała filozofów jeszcze wtedy, gdy szło im o potwierdzenie lub obalenie wiary w idee wrodzone o potęgach nadziemskich, a nie jak teraz o socyologiczną i antropologiczną stronę zjawiska. Przypominam sobie, że Büchner wyzwawszy w swej *Sile i materyi* Pana Boga na pojedynek, godził weń głównie tym właśnie argumentem o plemionach bezreligijnych. Boć jeżeli przeczucia jestestw i sił pozaziemskich są wytworami społecznemi tylko a nie przynależytością duszy ludzkiej, wyssaną razem z mlekiem matki, tedy aureola ich niezbędności i powszechności rozpryskuje się! Dzisiaj jałowe te spory przeżyły się i nauce, zaglądającej w tajniki dzikich umysłów, chodzi więcej a może jedynie o zaspokojenie ciekawości psychologicznej. Przebrzmiałe owo hasło metafizyczne służy jej już tylko za przestrogę wobec doniesień misyonarzów. Czcigodni krzewiciele chrystyanizmu i ułatwiacze zagrobowego zbawienia mają bowiem tę organiczną już słabostkę, że objawiając przebrzydłym pogańskim plemionom wiekuistą prawdę, etnografom i socyologom objawiają wiekuiście kłamstwo; albo raczej dwa kłamstwa, zasadniczo z sobą sprzeczne. O jednych i tych samych plemionach dzisiaj głoszą—w obronie ogólnego idealizmu — że nim zetknęły się z pierwszą pieluchą, już były obwinięte w... monoteizm, jutro zaś, że były ciemne, surowe i nieokrzesane, lecz jeden promyk gwiazdki betleemskiej ułagodził je i oświecił.

Jeszcze po dawnemu dmie w dudkę materyalistyczną francuski profesor Vinson w obszernej kompilacyi zatytułowanej: *Religie współczesne, ich doktryny, rozwój i dzieje*. Dla niego *idee wrodzone* nie przestały być kamieniem obrazy i oto cały pierwszy rozdział swego dzieła, obfitującego w donkiszotowskie skoki i rzuty, w naiwne wróżby i dogmaty, poświęca ludom, które tryumfalnie uznaje za ogołocone z wszelkiego kultowego nalotu.

Daleko poważniej jednak, z mniejszą gorączką i pewnością siebie, przystępuje do rzeczy słynny antropolog Quatrefages. Temu już nie zdaje się, że w pewnym określonym momencie przyszłości cywilizacya również łatwo będzie mogła się obejść bez wierzeń, jak np. wyspiarze z Malajskiego archipelagu bez opieki Watykanu. Według niego przeciwnie, religijność jest jednym z rysów, które odróżniają człowieka od zwierzęcia i błądzą ci, którzy odmawiają pewnym szczepom zacofanym zarodków religii i kultu.

Nieraz zdarzało się, że plemię z zapadłego kąta świata ogłaszano za całkiem bezbożne, ażeby potem doraźne to orzeczenie odwołać. Mieszkańców wysp Andamańskich dosyć niedawno w ten właśnie sposób spotwarzono, ale Quatrefages rehabilituje ich na podstawie zupełnie świeżych danych. Mają oni swego boga, bardzo, nawet za bardzo zbliżonego do gromowładców w panteonie chrystyanizmu, judaizmu, islamu i budyzmu. Najwyższa ta istota cieszy się niewidzialnością a podobna jest do ognia. We dnie posiada wszystkowiedzę i przenika najskrytsze myśli ludzkie. Puluga, tak bowiem nazywają ją czciciele, zamieszkuje wielki gmach z kamienia, dźwignięty na stropie niebieskim, umie jeść i pić; kiedy mu się podoba, zstępuje na mizerny nasz padół dla zaopatrzenia się w prowizyę; całą suchą porę roku spędza na wygodnej drzemce itd.

Quatrefages zebrał nadto wiele szczegółów z mitologii buszmenów i hotentotów i ze skrzętnością łączy wielką przezorność w wyciąganiu stanowczych wniosków. Nie rozstaje się nigdy z naukowem niedowiarstwem, które nasuwa mu pytania: czy religia obserwowania w rzeczy samej wyhodowaną została przez odnośną hordę, jej inteligencyę i instynkty? czy w jakikolwiek sposób nie zabłądziła skądinąd? Nawet wówczas, gdy zachodzi pewność, że kult zjawił się samorodnie bez wpływów i domieszek zzewnątrz, relacye o nim zabarwione są z konieczności podmiotowem tłem badacza.

A teraz jedno maleńkie *intermezzo*. Nie mogę się powstrzymać od zestawienia dwu głosów o Adolfie Bastianie; bo chyba nigdy dotąd zdania o jednym i tym samym uczonym tak się nie rozbiegały w dwie przeciwne strony.

Gumplowicz, dziecię erudycyi germańskiej i specyalnie psychologii zbiorowej, powiada tonem zachwytu, jaki w jego ustach stanowi prawdziwy fenomen: „Dzieła Bastiana są prawdziwą skarbnicą dla socyologii; fenomenalny ten autor więcej może zdziałać dla socyologii, niż wszyscy poprzedni socyologowie razem wzięci. Nie sposób jest jeszcze dzisiaj ocenić należycie zasługi jego dla socyologii; przyszłe pokolenia zoryentują się dopiero w ogromie materyału przezeń zebranego."

Podniesiony w ten sposób do apoteozy, wydał teraz nową kolekcyę faktów pod tytułem: *Świat w swych odzwierciedleniach pod wpływem procesów psychologii zbiorowej**) i oto co z tego powodu mówi *Revue philosophique*: „Pan Adolf Bastian pisze wciąż! P. A. B. dalej znajduje drukarzów i nakładców!.. Bądź co bądź *statystyka myśli* (podtytuł książki w mowie będącej) przejmuje mię podziwem i strachem... Znalazłem wszelako jedno objaśnienie pożyteczne dla podróżników w tej fantastycznej komplikacyi—jakimś obmyślanym z góry chaosie, przeciw któremu powinny być ogłoszone surowe kary, gdyby się było skazanym na czytanie podobnych... maszyn!" Ponieważ dzieło Bastiana zawiera szereg wizerunków, przeto czytamy w dalszym ciągu: „Nie udało się nam pochwycić związku ani między pojedynczemi reprodukcyami, ani styczności ich z treścią — ale mamy na tyle bezczelności, iż przyznamy, że o to troszczyliśmy się najmniej."

Bastian ma ideę szeroką i płodną: poznania praw, rządzących psychologią ludów, ale ma prócz tego niemieckie narowy: nie uznaje rozdziałów, paragrafów lub jakichkolwiek ułatwień w wykładzie; wystarcza więc trochę płytkości francuskiej, ażeby go ośmieszyć.

Jak dalece urosła w siłę i objętość historya religii w ostatnim ćwierćwieczu, widać stąd, iż niektórzy radziby ją, jako odrębną i samoistną umiejętność, popularyzować z katedry uniwersyteckiej. Gorąco dopomina się tej koronacyi Edward Hardy, profesor teologii katolickiej we wszechnicy Fryburskiej (Bryzgowia), na czterdziestu stronicach specyalnej broszury. Bije on na całą niedostateczność w uwzględnianiu tej nowej a tak świetnie już rozwiniętej i wybujałej gałęzi wiedzy — na wydziałach językoznawczych. Dotąd religie indusów wykłada sanskrytolog, religię greków—helenista; sinolog—religie chińczyków; ale to nie zaspakaja bynajmniej potrzeb wykształcenia i nauki. Należy czem prędzej tego kopciuszka filologii usamowolnić, dać mu prawa i atrybucye, równające go z resztą programu uniwersyteckiego.

Dziwny to i godny wysokiego uznania objaw, że katolik, blizko spokrewniony z św. teologią, odważa się stanąć na czele ruchu, nie bardzo sprzyjającego interesom prawowiernym. Zastrzega się on jednak taktownie przeciw pochopom stronniczym, żądając, ażeby z umiejętności religii nie czyniono areny polemicznych zapasów i apologij.

Niby na poparcie dążeń Hardego, w tem samem mieście zaczęto wydawać *Podręcznik historyi religij*, pod redakcyą amsterdamskiego profesora, Chantepie de la Saussaye. Nauka holenderska wyprzedza zatem na ważnym kroku niemiecką, która dotąd posiłkuje się przekładem innego, również holenderskiego dzieła.

Na zakończenie wydobywam się z zaklętego koła religii, ażeby wspomnieć o zapowiadającej się ponętnie ale w gruncie miękkiej książce d-ra Bernarda Münza: *Kwestye życia i świata — szkice filozoficzne*. Stosunkowo najwięcej między niemi budzi interesu polemika z pesymizmem, jako występ w dobie dzisiejszej dosyć rzadki. Mizantropia według autora jest czystą iluzyą i prawdziwych mizantropów nie ma. To co wydaje się pogardą dla ludzi jest poprostu źle zrozumianem rozdwojeniem w duszy człowieka, którego ideał wewnętrzny znacznie przewyższa rzeczywistość.

Goryczą rozczarowania lubimy brać i podawać za nienawiść dla świata, ale to raczej „miłość pożerająca sama siebie z nadmiaru smutku," ale nie nienawiść.

Lecz nietylko ta postać zniechęcenia, ale wszystkie jego odmiany i przejawy wydają się Münzowi skutkiem filozoficznych naciągań. Polemizując z Hieronimem Lormem, potępia jego skargę na ograniczoność poznania ludzkiego i woła: „Jest to wprost nieskromnie domagać się, ażeby prawda bezwzględna i absolutne szczęście były na tym świecie dostępnemi; należy być wdzięcznym i za względność rozkoszy i wiedzy."

Niemiecki ten filister zdaje się być nieco obłudnym. Dla niego wygrzewanie się w ciepłym szlafroku i pantoflach przy kominku obok szerokoramiennej i końskokopytej Elzy lub Lotty musi być szczęściem *absolutnem*.

„Nieprawda — mówi dalej — iż ludzkość nie postępuje. Nie jestże dowodem bezustannego rozwoju rewolucya francuska, usiłująca ziścić na ziemi godła równości, swobody i braterstwa. Grecy byli mniej moralni, niż sądzą powszechnie. Miłość śród młodzieży, nawet kupiącej się dokoła Sokratesa, nie była wolną od pierwiastku chorobliwie zmysłowego."

A szelmy, dlaczegóż tylko mistrza uczestowano cykutą!

N. Hirszband.

*) Nie umiemy inaczej przełożyć dziwacznego nagłówka: *Die Welt in ihren Spiegelungen unter dem Wandel des Völkergedanken.*

KARTKI NAUKOWO-ESTETYCZNE.

Lombroso do Moleschotta. Znakomity twórca antropologicznej teoryi zbrodnictwa, wedle której przestępcy nałogowi, czyli tak zwani przestępcy z urodzenia, posiadają swój odrębny typ fizyczny z charakterem anomalii, przesłał parę tygodni temu następujący list do również

znakomitego profesora wszechnicy rzymskiej, materyalisty Moleschotta.

„Przesyłam Panu list niniejszy, jako jednemu z nielicznych uczonych włoskich, który dosyć już dawno przyznał dobrą wiarę i doniosłość badaniom moim, a przesyłam go z okazyi nowego spostrzeżenia, które, o ile sądzić mogę, badania owe bezwarunkowo potwierdzi.

Ostatnimi czasy zajęty byłem podobiznami fotograficznemi przestępców, mianowicie porównywałem sześć czaszek zabójców i tyleż rozbójników i otrzymałem dwa typy, które zadziwiająco są do siebie podobne i w stopniu spotęgowanym najwidoczniej reprezentują cechy znamienne przestępcy a poniekąd i człowieka dzikiego, między innemi: wklęsłości czołowe bardzo wydatne, również bardzo wystające szczęki, wielkie orbity, oddalone od siebie, asymetrya twarzy itp. Inna znowu grupa z sześciu czaszek złodziejów i oszustów, złożyła się na typ mniej uwydatniony; lecz asymetrya fizyognomii, szerokość orbit, i niektóre inne cechy wystąpiły w nim z jednakową wyrazistością. Anomalie powyższe nie przestają być widocznemi, jakkolwiek stają się mniej uderzającemi, w przeciętnym typie, otrzymanym ze skojarzenia wszystkich ośmnastu czaszek.

Zasługuje na uwagę, że jakiś rys familijnego podobieństwa widnieje na wszystkich fotografiach; ten pozór pokrewieństwa przypisuję głównie asymetryi twarzy i szerokości oczodołów.

Ucieszył mię wielce pomyślny rezultat tych doświadczeń, gdyż sam jeszcze lat kilka temu nie wierzyłem weń; odpowiada on ze ścisłością prawdziwie naukową dosyć nierozważnym zarzutom pewnych antropologów, którzy są właściwie tylko antropo-metrami. Odkrycie rzeczone z innego względu posiada wagę i w szeregu pojęć o wiele ogólniejszych, potwierdza bowiem znakomicie hypotezę ważności i wartości przeciętnych danych statystycznych, które omal nie padły pod ciosami, ostatnio w nie wymierzonymi...“

Wzrost ludności w Niemczech. Nie miło robi się na sercu francuzom, ilekroć porównywają liczebnie karłowaciejącą swą ludność z masami rosłych i krzepkich potomków Teuta. *Revue scientifique* podaje w jednym z ostatnich zeszytów cyfry, zebrane przez znanego już czytelnikom *Prawdy* etnografa Karola Grad'a.

Według niego liczba miaszkańców terytoryum cesarstwa niemieckiego, wliczając i ludność świeżo wtedy zaanektowanej Alzacyi i Lotaryngii, wynosiła w r. 1870 — 40,816,000; według zaś ostatniego spisu ludności, dokonanego w 1 grudnia 1885 r. podniosła się już do 46,805,000, czyli innemi słowy, o 6,039,000 ludzi w przeciągu lat piętnastu, co równa się 1% rocznego przyrostu. Według traktatów z r. 1815, ziemie konfederacyi germańskiej, tworzące dzisiejsze cesarstwo liczyły razem nie więcej nad 24 miliony mieszkańców.

Jakże żałośnie wygląda natomiast statystyka ludności francuskiej! Od roku 1831 do 1881 ogólna liczba podnosi się z 32,560.000 do 37,321,000, co się równa 0.3% zaledwie rocznego przyrostu ale i ten przyrost z każdym rokiem zmniejsza się. Zaś od lat piętnastu, przewyżka cyfry urodzeń nad cyfrą zejść jest sześć do siedmiu razy mniejszą we Francyi niż w Niemczech.

Dzisiejsze terytoryum Niemiec ma 540,518 kilometrów kwadratowych powierzchni, co daje przeciętną cyfrę 86 jednostek na jeden kilometr kw. W ogóle zaś różnice w gęstości zaludnienia są bardzo znaczne. Tak np. w Saksonii liczą 198 mieszkańców na kilometr kw.. w Prusach zaś tylko 78 a w księstwie Meklemburskiem zaledwie 34.

Od r. 1871 do 1885 na tysiąc mieszkańców ludności przeciętnej przypadało w Niemczech na rok 8.3 małżeństw, 40.0 urodzeń, 28.3 zejść czyli że przewyżka liczby urodzin wynosi 11.7 na 1,000. Co zaś do podziału na płeć to wedle ostatnich spisów na 103.9 jednostek męzkich przypadało 100 jednostek żeńskich, we Francyi zaś na 100 pierwszych — 100.9 drugich. Jeżeli jednak w Niemczech więcej przypada urodzeń, to i stosunkowa śmiertelność jest większa, waha się bowiem w ostatniem dziesięcioleciu między 27 a 30 na 1,000, podczas gdy we Francyi między 23 a 24.

W rezultacie ostatecznym statystyka ruchu ludności zaznacza w Niemczech obok 46,815 mieszkańców, spisanych w r. 1885, cyfrę 86 jednostek na kilometr kwadr., we Francyi tylko 72. Na 937,243 czyli ogólną liczbę urodzeń od roku 1871 a 1880 we Francyi, przypada podwójna niemal, bo 1,771,334 w Niemczech. Rok rocznie w Niemczech przypada 1 urodzenie na 25 mieszkańców a we Francyi 1 na 37. Pod kilkoma innymi względami, jak np. pod względem liczby dojrzałych, zdolnych do pracy i wytwórczości, Francya przewyższa Niemcy, posiadające znacznie więcej małoletnich, ale nie dorównywa im znowu ogólną liczbą jednostek produkcyjnych.

Smutno nad wyraz przedstawia się statystyka urodzeń: w Niemczech 1 na 25 mieszkańców we Francyi 1 na... 37. Ale za to kwitnie — literatura pornograficzna, prostytucya parlamentarna i uliczna.

Przedwczesny obłęd. W ostatnich czasach mówi i pisze się bardzo wiele o szale, obłędzie, hysteryi, konwulsyach i wszelkiego rodzaju chorobach ustroju nerwowego u dorosłych — a nieco zamało o umysłowo-nerwowych cierpieniach dzieci. W zamiarze zapełnienia tego braku, napisał ciekawą książkę francuz Paweł Moreau (*La folie ches les enfants*). Niewesoło wcale usposabiają zawarte w niej liczne dane, z których okazuje się, że śród dzieci, nawet bardzo młodych, dosyć często występują na jaw rozmaite manie, hypokondrya, zamachy samobójcze lub morderczе itp. Najczęściej jednak zdarza się więcej bierna forma zboczenia, jak idyotyzm, tępota, głupkowatość, które to postacie odpowiadają rozmaitym stopniom upośledzenia rozwoju mózgu. Napady hysteryczne są rzadsze, ale zdarzały się już u dziewczątek bardzo młodych. (Piszący te słowa mógłby sam parę wypadków podobnych przytoczyć).

Do ciekawszych objawów cierpienia nerwowego u dzieci należą skłonności, których nikomu z nas pewnie dotąd nie przyszło na myśl uważać za chorobliwe. Są to według Moreau'a: wybitna skłonność do naśladownictwa, nadzwyczajna wrażliwość na wszelkiego rodzaju wmówienia oraz bardzo wydatny popęd do... kłamania. Ten ostatni nie jest niczem innem, jak wynikiem pewnego auto-suggestyi, samo-poddawania myślowego; albo też chorobliwie wzmożoną czułością na poddawanie. Daje się sprowadzić ta właściwość dzieci do nadmiernej swobody przechodzenia idei w czyn, swobody nietamowanej żadnymi skrupułami i przeszkodami, te bowiem wytwarza dopiero późniejszy rozwój ducha.

Zbadanie tego rzędu anomalij u dzieci jest rzeczą nie małej wagi. Przyjąwszy bowiem za punkt wyjścia niezmierną wrażliwość systemu nerwowego w młodziutkich organizmach, łatwo pojąć, iż pod wpływem nieprzyjaznych warunków hygieny i wychowania anomalie muszą z czasem wzrastać, a nawet przechodzić w istne potworności. W ten tylko sposób można sobie wyjaśnić takie dziwy. jak np. krzyżowe wyprawy dzieci w XI i XIII stuleciach.

Jeszcze o Kirchhoffie. Niemcy nie przestają się zajmować wielkim swoim fizykiem i mechanikiem, który wraz z Bunsenem w naukach ścisłych taką samą stanowił parę, jak Goethe i Schiller w poezyi. Najznakomitszy uczeń i następca Kirchhoffa, profesor Robert Helmholtz, poświęcając niedawno zmarłemu mistrzowi gorące i serdeczne wzmianki oraz obszerną pracę w *Rundschau*, nazywa go figurycznie „gramatykiem języka niebieskiego,“ albowiem odkrył on, że promienie światła, rozpraszane przez ciała planetarne rozmawiają językiem, który może być rozumianym przez analizę ich widm. Kirchhof właśnie odcyfrował tę tajemniczą mowę i objaśnił światu znaczenie ciemnych linij Fraunhofera w widmie słonecznem.

Sławny ten nieboszczyk opowiadał sam o ciekawym dyalogu z bankierem swoim. Mowa była w kółku przyjacielskiem o ujawnieniu przez linie Fraunhofera — obecności złota w słońcu. Bankier Kirchhoffa odezwał się: „I cóż mi po tem złocie na słońcu, skoro nie mogę ściągnąć go na ziemię?“ Gdy sławny uczony obdarzony został przez anglików w uznaniu zasług wielkim medalem i pieniężnym jego równoważnikiem, przyniósł dar do bankiera i rzekł: „Patrz, mój przyjacielu, ja jednakże wygrałem na słońcu złoto.“

H.

WYNALAZKI.

Algina i jej zastosowania. Wodorosty (algae) posiadają szacowną własność asymilowania jodu w wodzie morskiej zawartego.

W zwykłym procesie otrzymywania jodu z wodorostów traci się przynajmniej połowę tego halojdu, a to w skutek wysokiej temperatury, w jakiej spalają się wodorosty. Metoda Stanforda z Glasgowa zabezpiecza od tej straty, redukującej się wtedy do minimum.

Stanford posługuje się prażeniem (kalcynacyą); wydziela on najpierw, przez prostą maceracyę w wodzie zimnej, chlorek potasu, siarczan potażu i sól wareku (chlorek sodu zawierający węglan sodu i jodku). Ilość w ten sposób wydzielona wynosi około 33%, z której dwie trzecie stanowią sole mineralne, resztę zaś składają dekstryna, mannit itp.

Pozostały osad reprezentujący 67%, zawiera w sobie celulozę i *alginę*, materyę odosobnioną i zbadaną przez Stanforda. Algina, z wejrzenia do białka podobna, składa się przeważnie z azotu i z materyj pożywnych roślin morskich.

Algina, równie jak alginat sody, ma liczne zastosowania w przemyśle. Zastępuje krochmal doskonale i lepiej od niego tkankę zapełnia, jest przytem więcej sprężystą. Wysuszona staje się przezroczystą i opiera się dzielnie wpływom kwasów. Bielizna zaprawna alginą jest w dotknięciu miękką, elastyczną i nie ma tej ostrej sztywności, jaką jej nadaje krochmal. W farbiarstwie alginat sody jest produktem nieoszacowanym, gdyż barwy utrwala przedziwnie; wreszcie algina jest materyą pokarmową a posługuje niemniej do oczyszczania kotłów parowych z inkrustacyj tyle im szkodliwych.

Nowy ten wytwór chemii, obdarzony tylu najrozmaitszemi i użytecznemi własnościami, bezwątpienia szybko rozpowszechni się w przemyśle.

Nowe metale: Germanium i Austrium. Chemicy niemieccy wykryli obecnie dwa nowe metale, i naśladując Lecoq'a, który za pomocą analizy widmowej wyśledził w rudzie mineralnej metal nazwany przezeń *galium*, nadali im nazwy ojczyste *Germanium* i *Austrium*.

Co do austrium jeszcze nie można stanowczo orzec, czy w istocie przedstawia on cechy właściwe metalom. Lecoq poczytuje go za metal identyczny z Galium, a Jungfleisch zaznacza wielkie podobieństwo metalu austryackiego z wykrytym przez Lecoq'a.

Bądźcobądź, nowy metal otrzymanym został przez Linnemanna z rudy zwanej *ortytem arendalskim*. Widmo austrium cechuje się dwoma prążkami fioletowymi, z tych jeden wyrazistszy mniej jest odległym od prążka D, niż prążek główny potasium, drugi przeciwnie więcej się od tegoż oddala.

Chemik Wenzel badał ten nowy metal, który pozyskał z ortytu drogą wskazaną przez Linnemanna. Roztwór ortytu w tym celu oswabadzał on zwykłą metodą od ciał obcych, a w szczególności od żelaza, przez strącenie go pod postacią szczawianu żelaza, a następnie traktował wodorem siarkowym dającym osad złożony z ołowiu, miedzi, cyny i arszeniku. Po przefiltrowaniu dokładnem, zobojętnieniu i dodaniu octanu alkalicznego, z roztworu strąca się osad za pośrednictwem wodoru siarkowego lub siarku amonium. Po wystawieniu mieszaniny na działanie powietrza, aż do chwili zniweczenia siarczyku alkalicznego, otrzymuje się osad, zawierający miedź, ołów, cynk, kadmium, talium, żelazo. wapień, magnezyum, nieco alinu i *austrium*. Można rozpoznać wszystkie te metale w widmoskopie, śledząc iskrę indukcyjną, przebiegającą w chwili zetknięcia się z roztworem chlorowodnym osadu.

Kwas chlorowodny ogrzany zabiera ostatnie ślady siarczyków; następnie dodaje się sody

kaustycznej w nadmiarze do roztworu chlorków, płyn ten filtruje i dolewa jeszcze nieostygłego nieco siarku-sodu, poczem filtruje się go znowu. W roztworze tym pozostaje austrium. Wystawiając płyn ten na wpływ powietrza, zasady alkaliczne przechodzą w węglany, a część austrium strąconą zostaje wraz z siarką; nadmiar zaś tego metalu pozostaje w roztworze.

Dalsze poszukiwania uwidocznią bezwątpienia, czy austrium poczytywać należy za pierwiastek, czy też za identyczny z galium.

Charakterystyka germanium jest nierównie wyrazistszą. Metal ten wykrył Klemens Winkler w skale srebrodajnej kopalń freybergskich. Ruda ta, znana pod nazwą *arggraditu*, badaną była letrorem przez Richtera, który w niej wyśledził obecność srebra i siarki oraz rtęci w małej ilości. Analizy najściślejsze oznaczają na 73 do 75% srebra, 17 do 18% siarki, 0,21% rtęci, nieco żelaza i ślady arszeniku; wreszcie 6 do 7% przypada na germanium.

Odkrycie tego metalu żywo zainteresowało chemików. Winkler dał poznać dokładny skład arggraditu i uwidocznił istnienie nowego pierwiastku, wielce zbliżonego do antymonu, lecz w głównych własnościach całkiem od niego różnego.

W. N.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

Wanda z Dowgiałłów Trzcińska. *Przygody Mateusza Jarząbka.* Powiastka. Warszawa, 1888, str. 32.

Dyzma Zimorowicz. *Nie w porę.* Nowela. Kraków, 1888, str. 35.

Wincenty Rapacki. *Odbijanego.* Komedya w 5 aktach. Warszawa, 1888, str. 78.

Nie pamiętamy, kto i kiedy wprowadził do powieści naszej chłopa na wpół dzikiego, wiecznie sypiącego przekleństwami, zawsze gotowego do bójki, nieprzestrzegającego zbyt ściśle praw cudzej własności i chciwie zerkającego w stronę półkwaterka wódki. Faktem jest niezaprzeczonym, że wskutek zwykłego u nas popędu do owczego naśladownictwa ów chłop, podobny raczej do zwierzęcia, niżeli do człowieka, stale od lat kilkunastu pojawia się w naszych powieściach i sztukach t. zw. ludowych.

Świeży i wymowny przykład takiego pomawiania ludu o rozbestwienie w mniejszym lub większym stopniu mamy w świeżo wydanej powiastce p. n. *Przygody Mateusza Jarząbka.* Pochodzi ona z pod pióra pisarza, który w pierwszym swym literackim turnieju przykrył twarz przyłbicą pseudonimu Wandy z Dowgiałłów Trzcińskiej. Po twórcy *Jurka* mogliśmy spodziewać się staranniejszego uwzględnienia prawdy, aniżeli w owych *Przygodach.* Nie zgadza się bowiem z nią następująca scena, stanowiąca zarazem początek całego utworu. W wiejskiej karczmie siedzi za stołem trzech gospodarzy i popija piwo. Dwóch z nich przyprowadziło synów, kilkunastoletnich chłopaków. W tem wchodzi do izby nauczyciel wiejskiej szkółki, Jan Kukułka. Chudy i znędzniały wskutek doznawanego niedostatku, grzecznie pozdrowił obecnych, kupił za pięć groszy bułkę, którą zaraz począł jeść i zabierał się do odejścia. Lecz chłopcy, powodowani zwykłą u dzieci złośliwością, poczęli kukać. Gospodarze zamiast zgromić synów za ów przytyk do nazwiska nauczyciela, parsknęli śmiechem. Wtedy zaczepiony zwrócił się do gospodarzy i przedstawił im, że źle postępują, pozwalając dzieciom na takie wybryki i prowadząc ich do karczmy, zamiast posyłać do szkoły. A nauka im potrzebna, gdyż nawet nie umieją czytać. Wtedy bohater powiastki, najbogatszy we wsi chłop, w odpowiedzi na te uwagi tak huknął:

— Ej, nie rozpuszczaj gęby! Z nas żyjesz. Kto ci płaci?.. Gmina. A gmina, to my!

A dalej dodał taką obelgę:

— Milcz ty, krawiecki synu! W miasteczku tobie siedzieć, a nie uczyć nasze gospodarskie dzieci.

Pomijamy już jaskrawo tutaj widniejącą nieznajomość naszych stosunków społecznych i obowiązujących ustaw szkolnych. Natomiast czyż prawdziwem jest, by chłop przemawiał, czując swe niesprawiedliwe postępowanie, w taki sposób do surdutowca, do człowieka, wyżej stojącego od niego w społecznej hierarchii. Pojmujemy wprawdzie, że ta scena potrzebną była autorowi do sprawienia artystycznego efektu i do silniejszego uwydatnienia późniejszych smutnych przypadków Jarząbka, który nie umiał czytać, a prosić o pomoc nauczyciela nie chciał i nie mógł po wyrządzonej mu krzywdzie. Stąd łatwiej autorowi, wyciągnąć moralną naukę, mającą czytelników uszlachetnić. Lecz właśnie z tym pedagogicznym celem w dziwnej sprzeczności pozostaje autor przez pomieszczenie tej sceny. Najwidoczniej sędziowie, którzy na konkursie *Gazety świątecznej* odznaczyli ową powiastkę, nie zastanawiali się zupełnie, że ma być ona przeznaczoną do *czytania dla ludu.*

Niektórym nowelistom zdaje się, że im bardziej stworzą coś podobnego do obłoku, który niema ostrych i wyrazistych konturów, ich nowela tym większym odznaczać się będzie poetycznym wdziękiem. Wyznawcą tej dziwnej estetycznej zasady jest widocznie i p. Dyzma Zimorowicz, nieznane nazwisko w coraz to liczniejszym tłumie nowelistów. Naszkicował bowiem kilkunastu kreskami, tu i owdzie tylko należycie dociągniętemi, kilka chwil z życia stolarza, który przez całe życie wodzi się za bary z biedą. Wreszcie wróg wziął górę, bo przyzwał na pomoc najstraszniejszego sprzymierzeńca — chorobę. Młodsze dziecko prawie kona, matka i kilkuletnia córeczka sinieją z głodu. Wtedy stolarz przypomniał sobie, że bogaty kapitalista winien mu za dawno skończoną robotę. Mała to sumka, kilka reńskich, lecz stanowić one mogą most nad przepaścią, a po drugiej stronie czeka go ratunek i jaśniejsza dola. Próżno o niej marzył, ponieważ bogacz o zatłuszczonem sercu zaparł się długu, a nadto, poturbowany przez zrozpaczonego rzemieślnika, oskarżył go o kradzież. *Nie w porę* tedy policya aresztuje ojca rodziny, wyczekującej go jak zbawienia. Treść ową smutną, gdzieniegdzie przykopconą brudami życia, poczerpnął autor z miejskich suterynu. Być może jednak, że trochę mniej zużytej sadzy przy malowaniu postaci mściwego kapitalisty, wyszłoby na korzyść tak artystycznej, jak i psychologicznej wartości obrazka. Obecnie bowiem mimowoli przypomina on stare melodramaty, przesiąkłe krwią, łzami i fałszerstwem, lub kartką z *Tajemnic Paryża* Suego, który kochał się w tworzeniu moralnych potworów, rzadko w całej okazałości istniejących na świecie.

P. Wincenty Rapacki z pola historycznego dramatu przerzucił się do historycznej komedyi. Nie często to obecnie pielęgnowana niwa. Nie zaprzeczamy owej sztuce wierności dziejowego kolorytu lub dosadnej charakterystyki figur, nie wiemy również, jak na scenie przedstawiałaby się ona oczom widzów. W czytaniu przecież robi wrażenie raczej krótkiego powieściowego opowiadania z XVIII wieku, aniżeli komedyi. Bohaterem jest tu osławiony starosta kaniowski, który za żonę pojął córkę własnego ekonoma. Poniewiera więc magnat niebogą, kiedy mu tylko szalona fantazya do ogolonego łba strzeli. Lecz wreszcie ujął się za pokrzywdzoną rozkochany w niej wojewodzic Józef Gozdski i porwał ją mężowi. Ten zebrał wojsko i po utarczce zmusił napastnika do oddania branki. Pokonany Józef, widocznie nie tak wstrzemięźliwy co do cudzych żon, jak jego biblijny imiennik, po raz wtóry próbuje szczęścia. Na razie los uśmiechnął się do niego, niebawem jednak starosta pochwycił zbiegów. I tu zaszła przemiana, niczem przez autora nie poparta. Starosta zamiast ukarać winną a kochającą się parę, łączy ją, zezwala na rozwód, obdarza zapisem, a sam zamyka się w Ławrze poczajowskiej, by pokutować za grzechy. Spora garść pobocznych postaci i epizodów urozmaica akcyę.

A. N.

TEATR.

Melpomena na letniem mieszkaniu.

Napotkawszy na ulicy kulawego garbuska, którego twarz nadto poryły bruzdy ospy, odwracacie się najczęściej lub przyspieszacie kroku. Ten lub ów zaś szepnie z litością w głosie: „biedny kaleka.“ Zupełnie tak samo zachowuje się i publiczność wobec wszystkich prawie sztuk, które przesunęły się w tym roku po scenach teatrzyków ogródkowych; krytyka zaś spełnia obowiązki litościwego przechodnia. I nie może być inaczej, kiedy wybitnem znamieniem owych dotychczas przedstawianych utworów jest nieudolne obrobienie scenicznie tematów, często wprost banalnych, czasem pospolitych i szarych, często zużytych, jak wytarty trzygroszniak. Wprawdzie mieliśmy do czynienia prawie wyłącznie z literackim zarybkiem, który nietylko sceny, lecz i świata nie zna z pewnością, któremu trudno myśleć o artystycznem polerowaniu lub rzeźbieniu, kiedy trzeba walczyć z trudnościami językowemi. Nadto dramaturgowie owi nie sięgali zbyt wysoko po wawrzyny, dla nich jeszcze za zielone, nie puszczali się w dziedzinę dramatu lub komedyi poważnej, lecz przeważnie chrzcili swe płody mianem krotochwili. Biedacy nie wiedzieli zapewne, że właśnie ten rodzaj literatury scenicznej jest najtrudniejszym dla początkujących pisarzy, najwięcej bowiem zawiera przeszkód dla nieobeznanych z tajnikami efektów i efekcików, olśniewających widza, niby purpurowy ogień bengalski, a tyle wartających i tak długotrwałych, jak ten ostatni.

Tak samo ongi lekceważył sobie farsę i najsłynniejszy dziś rzemieślnik sceniczny, Sardou. I on w czasach, gdy był jeszcze młodym medykiem, mieszkającym na poddaszu, często głodnym, a niekiedy nienasyconym zupełnie, napisał trzy krotochwile, które przedstawione w przedmiejskich teatrach paryskich, sromotnie przepadły. Nie zraził się atoli młodzieniec temi klęskami, bo może czuł w piersi drzemiące powołanie, a może wiedział, że w razie powodzenia droga dramaturga we Francyi wysłana jest złotem i biletami bankowymi. Pracował tedy ustawicznie i pilnie, zapoznawał się powoli z wszystkiemi tajemnicami budowy zręcznej i gładkiej, intryg splątanych i rozwiązujących się samo przez się. Za wzór wziął sobie Scribego. Czytał każdą jego sztukę z uwagą, potem spisywał treść ogólną, dalej — każdego pojedynczego aktu, wreszcie każdej sceny z osobna. Później starał się odgadnąć, jaki cel ma każdy akt, każda scena, każda występująca osoba. Pisał charakterystykę wszystkich postaci i rozwiązywał pytania, do czego każda z nich służy, dlaczego w pewnej chwili występuje, a nie kiedyindziej. Śledził przebieg osnowy i starał się uchwycić jej stopniowy rozwój, jej gorączkowe zazwyczaj przyspieszenie przy końcu aktu, a potem i całej sztuki. Początkowo podobna praca sprawiała mu wiele trudności, nieraz chciał ją porzucić i poświęcić się dziennikarstwu, które za mniejszą ilość trudu większą obdarzyłoby go zapłatą. „Wytrwałem atoli — powiada w ułomku autobiografii — i sze-

dłem wciąż naprzód. Po przerobieniu w ten sposób kilkunastu sztuk, wziąłem inne utwory Scribego, przedtem mi nieznane. Jeżeli to była pięcio aktowa komedya, czytałem tylko trzy pierwsze, dwa ostatnie dorabiałem sam. Później porównywałem je z oryginałem, o ile odgadłem myśl autora, widziałem lepiej swe błędy." Skutek odpowiedział pracy; rozgłos i bogactwo opromieniły dzisiaj jego wiek dojrzały.

Po tej wycieczce w bok, świadczącej przecież, jak francuzi umieją pracować, jak cenią sobie wszelką technikę i techniką ową pragną zawładnąć, powracam do naszych nadwiślańskich pisarzy dramatycznych.

W „Belle-vue" ujrzeliśmy farsę p. n.: *Bykalski czy Wykalski, szewczyk w Warszawie*, p. Kozierowskiego. Autor posiada humor i werwę, zna nadto świat rzemieślniczy; na podstawie tych cennych przymiotów ulepił krotochwilę dość ożywioną i zabarwioną właściwym kolorytem. Ów Bykalski odziedzicza spadek i jedzie do Warszawy, aby „otrzeć się" między ludźmi. Edukacya atoli nie skutkuje, jak zwykle u każdego dorobkiewicza, zaślepionego w sobie samym, przerywa się nadto z chwilą, gdy dowiedziano się, że spadek właściwie przypada Wykalskiemu. Widzimy tutaj jeden trafnie pochwycony rys, właściwy masom. Oto tkwi w nich popęd do hulanki w wielkiem mieście. Mieszkaniec prowincyi, bez względu na narodowość, nie uważa stolicy za skarbnicę wiedzy, za źródło, z którego możnaby poczerpnąć zdobycze cywilizacyi. W jego oczach jest ona olbrzymią salą balową, w której zabawy poczynają się tańcem, a kończą wyuzdaną orgią. W wielkich miastach żyją dzisiaj już całe legiony ludzi, dla których środkiem utrzymania, a nawet rogiem obfitości jest właśnie owa chęć „użycia," tkwiąca w piersi wieśniaka lub małomieszczanina.

Spółka autorska, mieszkająca we Lwowie, corocznie uszczęśliwia nasze sceny komedyami, którym ruchu i bieganiny odmówić nie można, lecz natomiast trudno przyznać jakąkolwiek wartość literacką. P. Abrahamowicz daje pomysły, boć każdy szlachcic polski do pomysłów i projektów jedyny; p. Ruszkowski ów pomysł przyoblekа w ciało. Tym razem obaj spudłowali; pierwszemu nie dopisała wyobraźnia, drugiemu werwa. Tylko tytuł, na czasie będący, bo zastosowany do wprowadzonej w Austryi ustawy o pospolitem ruszeniu, zaciekawiał publiczność galicyjską. U nas i ten nabój okazał się ślepym. Dwóch młodzieńców podpiło sobie na wieczorku tańcującym. Nuże oświadczać się córkom gospodarza. Te przyjęły owe słodkie słówka za dobrą monetę. Na drugi dzień młodzi ludzie wytrzeźwieli — za późno, wykręcają się tedy od żeniaczki to chorobą, to pogłoskami o bliskiej wojnie, to obowiązkami żołnierzy z „pospolitego ruszenia." W końcu jeden żeni się z panną, której poprzednio oświadczył się, drugi z młodszą siostrą swej narzeczonej. Akcya toczy się wolno, wstęp niezmiernie długi, dyalogi przewlekane.

Krytyka przestała się u nas bawić w wyrocznię; gdyby jednak zapytano nas, czy w p. Mielnickim lub p. Saint-Paul'u leży materyał na komedyopisarzy, musielibyśmy ciekawych zbyć grzecznem a wymownem milczeniem. *Wioślarze warszawscy* („Alhambra") pierwszego są stekiem... *naiwności*; drugi dobrą w założeniu farsę p. n. *Projektowicz* (tamże) przeniósł chyba na grunt angielski, u nas bowiem nie ma jeszcze kantoru stręczeń małżeństw. Lecz tak pierwszy, jak i drugi o budowie sztuki, o jednolitości postaci, o ich głębszem pojęciu nie ma wyobrażenia.

„Wodewil" w tym roku czuje skłonność do sztuk, niesłusznie zwanych ludowemi. Dla ludu pisane one nie są, a prawdziwej znajomości zwyczajów wiejskich, prawdziwych chłopów trafnie podchwyconych brak im również. Zjawiają się bowiem albo chłopi-filozofowie, rozumujący à la Spencer, albo tacy złodzieje, pijacy, rabusie, podpalacze, że musielibyśmy kraj nasz uważać za jeden wielki dom karny. S. Siprawiak osnuł swój ludowy obraz (naturalnie ze śpiewami i mazurem) p. n. *Nie miała baba kłopotu!* na nieporozumieniach między starą żoną, a młodym mężem, którego do małżeństwa skusiło przysłowie: „U wdowy chleb gotowy." Miał ten chleb atoli być dla niego i niezdrowym, bo serce ciągnęło go ku młodej i tryskającej zdrowiem a siłą dziewczynie. W końcu atoli „gwoli wiktu i opierunku" mąż godzi się z losem.

Dramat ludowy p. n. *Pan Zołzikiewicz*, osnuty na *Szkicach węglem* Sienkiewicza przez p. Mellerową i Galasiewicza, wywołał gromy oburzenia w zachowawczym obozie. Spółka przerabiając *Szkice*, starała się, o ile możności, o wierne przekopiowanie ich na scenę. Są całe dyalogi, wprost z książki wyjęte, intryga jest intrygą, ongi przez Sienkiewicza użytą. Skądże więc gniew? Ma on źródło może w niechęci ku spółce, że przypomniała społeczeństwu dawne „grzechy" autora *Ogniem i mieczem*, dalej i w tem, że przy przerabianiu zachowano obu księży, trafnie przez Sienkiewicza scharakteryzowanych. Lecz *Słowo* pisze: „Pociechy religijne tu ośmieszone; księża skarykaturowani, przedstawieni jako bezmyślni fanatycy i pasibrzuchy." Za to trzeba mieć żal do Sienkiewicza, panowie konserwatyści; spółka przekopiowała tylko wiernie to, co on napisał.

Kto pragnąłby wziąć praktyczną lekcyę sofistyki, niech przeczyta sprawozdanie *Słowa* o *Panu Zołzikiewiczu*.

A. Witski.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

William Higgins robiący nowe poszukiwania w dziedzinie etyki platerowanej. — Jakim sposobem 10% zamienia się na 25%. — Prosty a nadewszystko tani sposób uszczęśliwiania ludzi z ich własnej kieszeni.— Ukarany zawiadowca. — Jak prędko może być pochowane dziecko telegrafisty. — Dalszy ciąg oszczędności na kolei Nadwiślańskiej. — Przyzwyczajenie i wyzysk. — Mądrość groszowa.

Eliasz Higgins, członek angielskiego towarzystwa dobroczynnego "Lord God of mercy," wyczytawszy w gazetach wiadomość o zemście znanego przemysłowca nad swymi pracownikami za ujawnienie jego gospodarki i kaprysów w prasie tutejszej, a zarazem prośbę biedaków do odkrywcy tych cickawych tajemnic o zdjęcie przyłbicy—przybył natychmiast do Warszawy i ponownie zajął się tą sprawą. Chciał bowiem naprzód wystąpić jawnie jako poszukiwany sprawca nagan publicznych dla platerowanej etyki, a powtóre — zebrać obfitszy materyał do rozdziału swej książki, naszym stosunkom fabrycznym poświęconego.

I oto, co wielce szanowny p. Higgins mi opowiedział w rozmowie:

— Zebrałem śliczną wiązankę niezmiernie ciekawych i wysoce oryginalnych faktów, jakich gdzieindziej daremnie bym szukał. Nasza Anglia ma przemysł stary, w którym warunki pracy już dawno się ustaliły w pewien niezmienny typ, powtarzany wszędzie i ciągle. Widoków i objawów świeżych, odmiennych, trzeba szukać w krajach ekonomicznie młodych. Tam dopiero można znaleźć coś wychodzącego po za jednostajność, tam można widzieć nasionka lub płonki tego, co u nas stało się już rozłożystem drzewem. Posłuchaj pan np., jaką w tym waszym zakładzie wyrobów platerowanych urządzono kasę pożyczkową. Mniejsza o formalność, że pragnący z niej zaczerpnąć, winien uzyskać „łaskawe uznanie i zatwierdzenie" pryncypała; daleko wymowniejszym jast sposób obliczania procentów. Przypuśćmy, że ktoś bierze rs. 100 z warunkiem zwrotu w ratach dziesięciu: według stopy 12%, określonej ustawą, płaci za to rs. 10, a dla równego rachunku — rs. 12. Ponieważ zaś kasa pożycza tylko na raty miesięczne lub tygodniowe, przeto w danym wypadku rs. 10 jest odsetką za dużą, gdyż od każdej części zwróconej należy się uczestnikowi wzajemny procent 12%; czyli że właściwie od rs. 100 przy stopie 12% i spłacie miesięcznej po rs. 10, wypada (licząc za miesiąc pierwszy rs. 1, za drugi — kop. 90, za trzeci kop. 80 itd.), razem tylko rs. 5 k. 50. Skoro zaś pobrano rs. 12, obrachowano procent nie według 12%, lecz według 25% przeszło! Ale nie dość tego. Zdarza się bowiem, że uczestnik, który wziął rs. 100, spłaciwszy ledwie trzy raty (rs. 30), potrzebuje jeszcze dopożyczyć— przypuśćmy — rs. 20. Ponieważ według „porządku" miejscowego nikt nie ma prawa zaciągać długu nowego pierwej, nim pokryje dawny, przeto musi żądać o tyle więcej nad owe 20 rs., ile wynosi dawny i ile mu jeszcze brak do opłacenia procentu nowego, czyli rs. 20+70+10, to znaczy, że dla otrzymania rs. 20 musi znowu pożyczyć rs. 100. A skoro od uiszczonych w ten sposób jednorazowo rs. 70 nie ma prawa wymagać zwrotu procentu, przeto zachodzi pytanie, ile razy od pożyczonych 120 rs. zapłacił 25%?

— Jaki cel tego wyzysku?

— Oprocentowanie wkładów właściciela.

— Czy kasa z nich korzysta?

— Były, są i będą tylko jej ciężarem, ponieważ kasa ma pieniędzy za wiele.

— Jak to?

— Nieustanne obowiązkowe wkłady oficyalistów i robotników zwiększają co rok jej kapitał zapasowy o parę tysięcy rubli, który spoczywa w 5-procentowych listach zastawnych, a który przecież, jako własność uczestników, w końcu każdego roku musi być z zysków kasy oprocentowanym t. z. dywidendą.

— Czy wkłady właściciela są tak wielkie, że aż czynią różnicę?

— On składa po 100 rs. miesięcznie, podczas gdy urzędnicy tylko po rublu, a zatem on 100 razy więcej i w takimże stosunku otrzymuje dywidendę; że zaś pieniądze jego używane są wyłącznie na zakup listów zastawnych, więc gdyby nimi kasy nie uszczęśliwiał, to owa dywidenda przypadłaby uczestnikom.

— I on ją rzeczywiście zatrzymuje dla siebie?

— Przeznacza na pensye emerytalne dla trzech sparaliżowanych robotników. Każe ją zapisywać na rachunek „kapitału emerytalnego," pod którym to tytułem umieszcza również swoje wkłady, co spowodowało naiwnych do wyrażenia mu podziękowania w „Księdze narad" za „tak hojną ofiarę."

— Ale jeżeli swoje wkłady i dywidendę kazał zapisywać jako kapitał emerytalny, to niezawodnie i w książkach handlowych to zaznaczył.

— Nie. W głównej księdze fabrycznej istnieje tylko: „rachunek kasy pożyczkowej," czyli jego osobisty.

— Może to omyłka?

— Gdzie tam! Przedewszystkiem, gdyby to był istotnie „kapitał emerytalny," to w końcu roku nie podlegałby oprocentowaniu; powtóre, gdy buchalter, po owem sławnem podziękowaniu, w naiwności cały fundusz właściciela zapisał pod ten tytuł, dostał za to naganę.

— Po co ta blaga?

— Dla okazania, że i u niego istnieje — emerytura.

— Zatem owa kasa niema żadnej wartości?

— Żadnej — już przez to samo, że zostaje pod zarządem nie delegowanych, lecz egoistycznej jednostki.

— Kiedyż wolno wycofać swój wkład?

— Tylko przy opuszczaniu służby. Daremnie robotnicy prosili, ażeby mogli to czynić według własnego uznania. Jeden z nich chciał założyć sobie sklepik z wiktuałami i na cel pragnął wziąć 300 rs. z kasy, w której miał 400. Odmówiono mu i ofiarowano pożyczkę — rozumie się — na 25%. Tylko dla właściciela zakładu—oprócz zysków — przedstawia ona inne jeszcze korzyści: nie potrzebuje on udzielać pożyczek i zaliczek z kasy fabrycznej; oddalając pracowników, trzyma ich za kieszeń i pokrywa sobie wszelkie pretensye; wreszcie ma dokąd odsyłać z francuską grzecznością osoby postronne, żądające odeń pomocy.

(Dokończenie tej pouczającej rozmowy nastąpi w numerze przyszłym, gdyż nie mogę nią wypełniać całej kroniki a p. Higgins jeszcze powiedział mi wiele bardzo ciekawych szczegółów).

Krzemiennem sercem, z którego żaden ścisk łzy nie wysączy, najpewniej można nakrzesać w worek iskier złotych. Reguła ta, wynaleziona przy narodzinach świata ludzkiego, nie będzie miała wyjątków aż do jego zgonu. Na jednej ze stacyi pewnej tutejszej kolei żelaznej — według *Kuryera codz.* — umarło dziecko telegrafiście, pobierającemu 360 rs. rocznej pensyi. Ponieważ biedny ojciec nie miał czem opłacić kosztów pogrzebu, zwrócił się o pomoc do zawiadowcy. Ten wysłał depeszę do zarządu z prośbą o udzielenie zapomogi. Skutek orędownictwa był taki: zawiadowcy kazano zapłacić 80 kop. kary za posługiwanie się telegrafem w sprawie „nieurzędowej,“ a telegrafiście polecono, ażeby swą błagalną modlitwę wyprawił „zwykłą drogą korespondencyi administracyjnej.“ Ponieważ ta „zwykła droga“ wymaga około tygodnia czasu, co najmniej tyleż dni musiałyby zwłoki dziecka czekać na jałmużnę, pozwalającą im spocząć w ziemi.

Doprawdy biedni chłopi i żydzi mają słuszność, upraszczając sobie w takich wypadkach „korespondencyę administracyjną“ na stacyach kolejowych zwykłą żebraniną u przejezdnych. I ów telegrafista daleko prędzej przeciąłby gordyjski węzeł swej niedoli, gdyby zaczekał do pierwszego pociągu i obszedł wagony z talerzykiem: znalazłby w nich tylu ludzi miłosiernych, ile potrzebował na opłacenie pogrzebu dziecka. Ale — niestety — wtedy dano by mu dymisyę! Bo z 360 rs. na rok musi on nietylko karmić siebie i rodzinę, lecz i swoją dumę, która osobnego zasiłku nie pobiera.

P. Hantower, inżenier kolei Nadwiślańskiej, jest o tyle ludzkim, że od podwładnych, przynajmniej wobec siebie, żadnej dumy nie wymaga. Tak np. dozorców drogowych, pomiędzy którymi są ludzie życiowo i umysłowo wykształceni, stale tytułuje: „ty.“ Gdy mu zwracano uwagę na tę „oszczędność,“ objaśnił, że przyzwyczaił się do niej w miejscu poprzedniego swego pobytu, o czem bardzo wątpię, gdyż oficyalista kolejowy ruski prawdopodobnie ubezpieczyłby się przeciwko tej poniewierce. Dodać winienem, że, jak dotąd, stanowi ona nieopatentowany przywilej p. inżeniera, gdyż zarówno dyrektor, jak inspektor rządowy nie „oszczędzają“ dozorcom zwykłej grzeczności ludzi dobrze wychowanych.

Byłby to jakiś olbrzymi wół mitologiczny, którego skóra pomieściłaby całą dotąd jeszcze niezamkniętą kronikę „oszczędności“ kolei Nadwiślańskiej. Wiele charakterystycznych jej obrazków wydobyto na wierzch, a jakże bogata jeszcze ich galerya pozostaje w ukryciu! Dzięki np. zmniejszeniu służby technicznej, a powiększeniu żądań, pracowano po 12—14 godzin. Podczas zasp śnieżnych, a później — wylewów, służba ta miała zaledwie 4—5 godzin odpoczynku na dobę. Skutkiem tych wysiłków jeden z pomocników naczelnika dystansu zaniemógł. Dano mu wszakże urlop i zastępcę wtedy dopiero, kiedy ostatecznie zakwalifikowany został do... domu obłąkanych. P. Hantower, główny fabrykant tych „oszczędności,“ sprawił również, że od 13 lipca powymawiano kontrakty najmu mieszkań dla urzędników drogi, a rodzinom z 6—8 osób złożonym dano po jednym lub dwu pokoikach, niektórzy zaś nie dostali ani lokalów, ani pieniędzy. Słowem, system „oszczędności“ działa jak pompa ssąco-tłocząca, a ten sam wyzysk, który w fabrykach inspektorowie rządowi kiełznają swą władzą lub wyrokami sądowymi, tu hula bezkarnie. Zastrzegam się przeciw przypuszczeniu, jakobym chciał występować z obroną próżniactwa lub nawet rozprzężonej gospodarki niektórych naszych dróg żelaznych. Ale między ostatecznościami są stopnie pośrednie. Kierownicy zaś obecni kolei Nadwiślańskiej aż nadto wiele złożyli dowodów, że pragną posuwać się ku krańcowi przeciwległemu elementarnej ludzkości. Z dwojga złego wolimy zuchwałych królów kolejowych Europy i Ameryki, rzucających się w ryzykowne przedsiębiorstwa, niż tych groszowych skąpców, tych lichwiarzów pracy. Jak wszędzie, tak i w sferze kolei żelaznych bywają wielkie talenty, które z nich czynią potężną dźwignię ekonomiczną. Podobnych talentów tu nie widzimy. Droga też Nadwiślańska jak była martwą i chudą, tak jest, tylko trochę podkarmiła się wyzyskiem.

Posel Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Dwie tęcze. — Drogi wyjścia. — Falszywa pogłoska. — Krajowe maszyny i narzędzia rolnicze. — Szlachcic nagrodzony. — Postępowe pszczelnictwo i podróż Muzeum pszczelniczego. – Włościanie w Klementowicach. — Pp. v. Treskow pobici... nie przez nas. — Nasze plantacye buraków. — Nowy wynalazek szlachcica dla załatwiania służebności. — Dobry obywatel. — Cud w Płońskiem. — Dlaczego dzierżawcy maciejowiccy zbankrutowali?

Pod wpływem zachmurzonego nieba, gradów, burz i piorunów, pojawiają się w pismach specyalnych i niespecyalnych odpowiedniej treści artykuły. Migają tam często błyskawice trwogi lub z gęstych obłoków gawędziarstwa sypią się gromy, druzgoczące w wybujałej wyobraźni wątłe podstawy bytu naszego. Na tym ponurym widnokręgu pojawiły się dwie tęcze dla rolników: bezpośrednia dostawa zboża dla wojska i uchwały na zjeździe gorzelników. Obie mają doniosłe znaczenie i mogą zachwianym nadać jaką taką równowagę przy stąpaniu po urwistych ścieżkach. *Gazeta rolnicza*, bezustannie błąkając się w przyczynach przesilenia, także wskazuje nowe „drogi wyjścia,“ ale te mają jedyną wadę, że leżą za siedmiu morzami i górami, jak np. „gruntowna reforma kredytu rolnego,“ solidarne i energiczne wystąpienie przeciwko przewadze kapitału ruchomego itd. P. Karol Puffke, wskazujący powyższe środki, utrzymuje, iż nawet Towarzystwa kredytowe za wysokie pobierają procenty w stosunku do dochodów dzisiejszych z ziemi. Stosunek zaś taki równa się mniej lub więcej powolnej, lecz nieuniknionej ruinie właściciela. Boć jeżeli wygospodarzę z mej ziemi — mówi autor — 2 do 3% (ten jest mniej więcej przeciętny rezultat naszego gospodarstwa), a płacić muszę od długów spoczywających na mej własności 5—6%, to wyliczyć sobie mogę prawie z matematyczną pewnością chwilę, w której zwinąć będę musiał mój warsztat, tj. pójść z torbami. W olbrzymim zastoju nie wystarczą już żadne półśrodki, ani prezerwatywy. Groza obecnej chwili wymaga radykalnego lekarstwa, nowych *leges agrariae*. Szkoda, że p. Puffke nie stworzył ich, zanim przystąpił do napisania obszernego artykułu, w którym się można zgubić jak w polu podczas śnieżycy. Szlachta, chorobliwie wystraszona rozmaitymi alarmami, niema chyba już tyle siły, aby mogła strawić wszystko, co się drukuje na rachunek jej bytu. Ciągniona za ręce i nogi, nie wie sama, w którą stronę ma się rwać. Nic też dziwnego, że większość ucieszyła się wiadomością, iż skutkiem licznych podań Towarzystw rolniczych i pojedynczych właścicieli ziemskich, cło od maszyn i narzędzi rolniczych, przywożonych nie dla celów handlowych, postanowiono zmniejszyć do 25 kop. od puda. Teraz mają zmartwienie, gdyż pogłoska okazała się fałszywą. Nie wiem, jakie Towarzystwa rolnicze i jednostki starały się o powyższą ulgę, ale przypuszczam, że pchnęła ich do tego kroku krótkowzroczność. Gdyby ci wszyscy przedstawiciele „ziemiaństwa“ starali się choć trochę poznać zasady gospodarki społecznej, umieliby łatwo dojrzeć godła ekonomiczne wystawiane obecnie. System protekcyjny jest dziś silną tarczą polityki państwowej, a więc można było z góry przewidzieć, że wszelkie prośby o zniesienie ceł opiekuńczych nie będą uwzględnione. Dlaczego nasi właściciele ziemscy czują wstręt do krajowych wyrobów narzędzi rolniczych, już miałem sposobność kiedyś przykładami udowodnić. *Rolnik i hodowca* utrzymuje, iż fabryki tutejsze w poważnej części mogą zaspokoić potrzeby rolników z zupełnem ich zadowoleniem, że przyczyną niepochlebnego zdania o ich produkcyi jest brak zręczności kupieckiej tutejszych wytwórców, nieumiejących dosięgnąć w reklamie konkurentom zagranicznym. Istotnie, jest brak zręczności, ale nie w reklamach, tylko w sposobach wytwarzania przedmiotów ładnych na oko, a kruchych w zastosowaniu praktycznem. Naszym zaś konsumentom wystarczy kilka źle wykonanych rzeczy w fabrykach tutejszych, aby się zrazić do wszystkich firm krajowych. Musi to być jednak w części uzasadnione, skoro nawet kredyt bankowy, udzielany w Królestwie posiadaczom ziemskim na krajowe maszyny i narzędzia rolnicze, nie dla wszystkich jest zachętą.

Humor szlachty, popsuty nawałem niepowodzeń rozmaitych, powinno naprawić kilka faktów z obecnej chwili, dowodzących, iż ta rasa nie jest tak ostatecznie zniedołężniałą, aby nie mogła wydać przynajmniej jednostek broniących się pomyślnie od zagłady. P. Adam Michalski z Borowa, pod Kłomnicami, na konkursie gospodarstw wzorowych otrzymał medal złoty komitetu wystawy warszawskiej, za usilną pracę w kierunku ogólnego rozwoju gospodarstwa, a szczególnie za wzorowe urządzenie lasu, pomimo ciążących służebności, wreszcie za dokładną rachunkowość gospodarską. Pewien obywatel z pod Warszawy zakłada w swoim majątku wielką pasiekę „podług ostatnich wskazówek postępu,“ a podobno grono innych ziemian — jak słyszał *Kuryer codzienny* — zamierza porozumieć się z zarządem muzeum warszawskiego i przyjąć na siebie dalsze jego prowadzenie. Pragną oni cały ten zakład i szkołę pszczelnictwa przenieść do Lublina, gdzie mogą być wynalezione dogodniejsze i tańsze warunki istnienia. W razie, jeśli osłabione i skołatane Muzeum nie będzie miało odwagi na tak daleką podróż, znajdzie przytułek w jednym z ogrodów podmiejskich. Może ta instytucya, wpędzona w chorobę chroniczną przez gromadę powołanych i niepowołanych opiekunów i nianiek, wzmocni się na prowincyi i zagarnie pod swój wpływ ochotników z ludu. Jeśli dobry przykład rozszerzy się z okolic Nowej Aleksandryi (Puław), a Muzeum zamieszkałe w pobliżu będzie czuwać nad umiejętnem prowadzeniem tej gałęzi gospodarstwa — to chłopi nie dadzą się szlachcie prześcignąć we wzorowych pasiekach. W ostatnich kilku latach — jak donosi *Gazeta*

lubelska — wieśniacy w Klementowicach wzięli się do pszczelnictwa, które zapewnia im niezłe zyski. Dziś prawie każdy gospodarz posiada w swoim ogrodzie mniejszą lub większą pasiekę. Do rozwoju pszczelnictwa przyczynił się wiele nauczyciel miejscowy p. Bartkiewicz, sam zawołany pszczelarz. Lud tamtejszy pod innymi względami także zasługuje na uwagę. Niemal wszyscy włościanie, dzięki umiejętnemu gospodarowaniu, mają się dobrze, wielu posiada gospodarstwa 40—60 - morgowe, doskonale prowadzone. Pod względem oświaty także się wyróżniają dodatnio. Wszyscy, od najmłodszego do najstarszego, umieją czytać i pisać, a dzieci dobrowolnie z ochotą posyłają do szkoły. Kilku chłopów z Klementowic kształci synów w gimnazyum lubelskiem, ale, rzecz charakterystyczna, najwięcej ich się kieruje na... księży. Prawie co rok jeden ochotnik wstępuje do seminaryum. Wątpię, czy dążą oni za popędem powołania. Dla kmiecia-ojca stanowisko kapłana jest szczytem marzeń; dla syna — wygodnym urzędem. Dowodzą tego liczne przykłady rozmijania się księży tego pochodzenia z zasadami nauki Chrystusowej...

Jeśli naszym rolnikom brak sprężystości do wdrapywania się po śliskich słupach dobrobytu, niechże korzystają ze sposobności i skaczą na pochyłe drzewo, którem obecnie są właściciele obszarów pod Kutnem, pp. v. Treskow. Niedawno pisałem o wyrwaniu przez nich smacznego kąska obywatelom polskim. Obecnie muszą tylko ślinkę połykać. Udali się oni do ministeryum spraw wewnętrznych z prośbą o naturalizacyę i... otrzymali odmowę. Czekają więc ich następstwa prawa marcowego, a z nimi musi upaść świetny interes plantacyj nasienia buraczanego. W sam czas jedna z większych w kraju firm cukrowniczych na lewym brzegu Wisły, pragnąc się wyzwolić z zależności hodowców zagranicznych, zakłada własne plantacye buraków. Roboty przygotowawcze — jak utrzymuje *Kuryer warszawski* — prowadzone są z wielką energią, z uwzględnieniem najnowszych postępów nauki. Oby żelazo nie wystygło przed ukuciem, zwłaszcza że środków do rozgrzewania go mamy bardzo mało.

Najtrudniej ze sprawami serwitutowemi. Nasi obywatele kują je wielkimi młotami, ale oprócz parzących iskier nic wykuć nie mogą. Jeden tylko właściciel w Augustowskiem, wielce sprytny, wynalazł sposób na zmiękczenie tej kwestyi, ale czy się okaże praktycznym, zobaczymy. Dobra Balwierzyszki posiadają znaczne przestrzenie lasów, obciążonych służebnościami. Właściciel różne układy podsuwał włościanom, byle się pozbyć ciężaru służebnościowego; ofiarował nawet po 8 mórg lasu na osadę. Część interesowanych przystała na to, część zachowała się opornie. Wtedy szlachcic obmyślił inną kombinacyę. Dobra jego posiadają 7,500 m. lasu, a 250 osad ze służebności korzystających, czyli 2,000 mórg, tj. $^1/_3$ lasu należałoby oddać za serwitut, ograniczający się na dwóch furach leżaniny tygodniowo na osadę, bez prawa wrębu i pastwiska. Właściciel więc przeraziwszy się poprzednią hojnością, postanowił obliczyć służebność na „kubiki“ (sześciany) i wywozić włościanom na brzeg, przecinając im wszelką możność wstępu do lasów. Twórca nowego projektu przesłał swój pomysł do zatwierdzenia władzom. A więc figury geometryczne mogą załatwić palące sprawy, czyli oddzielić szlachcica od włościan. Będzie mu z tem lżej, bo przecież po to suszył głowę.

Inaczej dotyka spraw chłopskich B. M., obywatel ziemski z pod Kleczewa. Czynami swymi dowodzi, iż oprócz mózgu posiada serce. Według słów *Kaliszanina* otacza on opieką swych robotników, założył dla nich kasę, pobudował domy widne, porządne, otoczone ogródkami. Niedawno pożar zniszczył mienie mieszkańców wsi sąsiedniej. Pomimo, że pogorzelcy nie mieli przedtem interesów z dziedzicem, otrzymali od niego potrzebną ilość drzewa budulcowego, zapewne nie według matematycznych obliczeń na każdą chatę. Nadto, ten sam właściciel założył u siebie sklep spożywczy, przez żonę pisarza prowadzony. Nie osiąga on z niego żadnej korzyści materyalnej, chce tylko jedynie uchronić lud od wyzysku spekulantów.

Mają oni za to obszerne pole do działania w Płońskiem, gdzie żaden szlachcic nie stanie im na drodze. Włościanie tamtejsi byli przez długi czas gorąco zajęci cudem we wsi Lelewie. Dziewczynie dwunastoletniej, pasącej trzodę czy gęsi nad rzeką, ukazał się starzec siwobrody i kazał jej zwoływać lud dla odkopania kościoła zawalonego przed wiekiem. Zanim dziewka przerażona przyszła do siebie, widmo znikło. Odtąd tłumy siermiężnych ciągnęły przez kilka tygodni bez przerwy. W najpilniejszej chwili roboczej opuszczano gospodarstwo, tracono czas, siły, pieniądze i kopano bezustannie. Wyryto olbrzymią jamę, ale kościoła nie znaleziono. Na tem wszystkiem zyskał wiele karczmarz miejscowy, który chociaż nie jest obeznany z hypnotyzmem, umiał opanować wolę dziewczyny, nadzwyczaj rozstrojonej nerwowo i sprawić cud za jej pośrednictwem. Co robiła tamtejsza „inteligencya“ i duchowieństwo? Czy brały także udział w pobożnych pielgrzymkach i robotach?

Słowo oplwało dzierżawców Maciejowickich za ich bankructwo. Otóż korespondent *Gazety lubelskiej*, doskonale znający tamtejsze stosunki, obciera tę ślinę wymownemi przyczynami ruiny tych pracowników na cudzej roli. Dzierżawcy pozawierali umowy w ostatnim pomyślnym dla rolników roku i kiedy w następnym ceny zboża oraz inwentarza (zakupionego bardzo drogo od administracyi) niesłychanie spadły, udali się z prośbą o zniżenie tenuty, utrzymując, iż w zmienionych warunkach nie mają środków do gospodarowania. Administracya stanowczo odmówiła i grożąc *eksmisyą*, zmusza ciągle dzierżawców do zaciągania lichwiarskich pożyczek na płacenie rat, nadto urządziła nowy przemiar gruntów i przeszacowanie do ubezpieczenia od ognia budynków wyporządzonych kosztem obecnych gospodarzów, hojnie za to płacąc z ich kieszeni. Ten sam zarząd nie uczynił żadnych ulg dzierżawcom na powiślu, którzy wskutek wylewu stracili wszystkie zasiewy. Na ich barki spadła także naprawa uszkodzonych wałów, co jest obowiązkiem właściciela. Przed wydzierżawieniem folwarki były „w najhaniebniejszem zaniedbaniu i opuszczeniu.“ Pomimo to oddano je po 2—4,50 rs. za morgę bez wyłączenia nieużytków przy średniej wydajności po trzy ziarna.

Drogomir.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Okólnik. W zeszłym miesiącu wszyscy biskupi katoliccy i instytucye sądowe otrzymały okólnik w sprawie odbierania przysięgi przez księży katolickich od osób, stawających przed sądem w charakterze świadków. W cyrkularzu tym zalecono biskupom, aby wobec niejednokrotnego uchylania się księży od przyjmowania przysięgi w języku ruskim, zechcieli wytłomaczyć: 1) że wszystkie czynności i obrzędy w instytucyach rządowych tutejszych odbywają się w języku ruskim, a więc i akt przysięgi w tymże języku odbywać się winien; 2) że składanie przysięgi w języku obcym może być dopuszczone tylko wtedy, jeżeli świadek nie umie i nie rozumie wcale po rusku; 3) że świętość przysięgi i świadome jej składanie uznawane jest przez instytucye rządowe, które są przedewszystkiem zainteresowane w tem, żeby przysięga składana była ze zrozumieniem. Wobec tego świadczenie właściwego urzędnika, że osoba pociągana do przysięgi umie i rozumie po rusku, powinno być uważane za dostateczne; 4) przed odebraniem przysięgi ksiądz winien zasięgnąć od właściwego urzędnika wiadomość, czy składający przysięgę rozumieją po rusku o tyle, żeby przystąpić do tego aktu ze świadomością. W razie otrzymania odpowiedzi potwierdzającej, winien spełnić swój obowiązek bez wszelkich kwestyj i oporu; 5) ci z księży, którzy będą się jeszcze na przyszłość wzbraniali, ulegną surowej karze. Okólnik ten wszedł w życie w sądach tutejszych.

Zarząd okręgu naukowego warszawskiego i rada miejska dobroczynności publicznej odmówiły przyjęcia udziału w rozporządzaniu zapisem Lewka Kuśmieraka, który w testamencie przeznaczył 10,000 rubli na wsparcia dla szkół żydowskich „Talmud-Tore.“

Z Krakowa donoszą, iż cesarz austryacki powiększył roczną zapomogę dla tamtejszej Akademii umiejętności do 16,000 złr.

W Moskwie powstało towarzystwo, mające na celu zbieranie marek pocztowych.

Szkoły. W ministeryum oświecenia znajduje się przedstawiony mu do ostatecznej decyzyi projekt ustawy wyższego instytutu, który ma powstać przez zmianę odeskiej szkoły handlowej. Będą dwa działy: nauk ogólnych przygotowawczych i specyalnie handlowych. Instytut ma zapewnić wszystkim kończącym w nim kurs z odznaczeniem: prawo do rangi klasy X-ej przy wstąpieniu do służby rządowej, prawo noszenia odpowiedniego medalu i prawo uczenia w zakładach technicznych lub handlowych.

— Opłata wpisu szkolnego w przywróconych klasach przygotowawczych wynosić będzie rs. 40, to jest tyle, co w innych klasach.

— *Grażdanin* donosi, iż rady pedagogiczne wielu gimnazyów postanowiły zaniechać zupełnie zadawania praktycznych ćwiczeń domowych uczniom pierwszych klas czterech, pozostawiając je dla klas wyższych, lecz w mniejszym niż dotąd stopniu. Przeciążanie bowiem pracą domową doprowadziło do bardzo smutnych wyników: uczniowie świetnie wywiązujący się z trudnych ćwiczeń domowych, w klasie nie umieli odpowiedzieć zadawalająco na proste, lecz wymagające samodzielnego myślenia pytania. Skutkiem tegoż przeciążenia jest fakt, iż kończący gimnazyum wstępują do uniwersytetów, będąc zupełnie nieprzygotowanymi do samodzielnej pracy umysłowej.

Sprawy czynszowe. Gubernator kijowski zaprosił do udziału w instytucyach powiatowych do spraw czynszowych w gub. kijowskiej: Rulikowskiego, Zaleskiego, Kopczyńskiego i hr. J. Krasińskiego.

Ogłoszono zmiany w opłatach od majątków zmieniających właściciela sposobem darmym. W razie prośby spadkobierców, należny od sukcesyi podatek z mienia nieruchomego rozkłada się na raty nie więcej nad lat 5 z dopłatą do skarbu po $^1/_2$% miesięcznie, a z majątku nieruchomego przedłużenie może być tylko na rok jeden bez dopłaty procentu.

Spółka artystów malarzy i rzeźbiarzy, niedawno zawiązana, otwiera filię salonu artystycznego w Częstochowie.

Oszczędności. Z rozporządzenia kontroli rządowej nad kolejami gwarantowanemi, od nowego roku między innemi pensye maszynistów na drodze Bydgoskiej nie mogą przewyższać 700 rs. rocznie, a nadto zmniejszona będzie liczba pomocników maszynistów. Z przyczyny powyższej maszyniści, pobierający więcej pensyi, przeniesieni będą na kolej Wiedeńską, a na ich miejsce przejdą młodsi maszyniści kolei Wiedeńskiej.

Wypadki na kolejach. Według danych statystycznych, zbieranych przez ministeryum komunikacyi, liczba zabitych i ranionych na kolejach w Rosyi wynosi rocznie przeszło 1,630 osób. $^1/_3$ przypada na zabitych, $^2/_3$ na ranionych.

Departament przemysłu i handlu w ministeryum skarbu otrzymał w ciągu pierwszego półrocza r. b. 154 podania o przywileje na wynalazki i ulepszenia.

W prowincyi Trentino na przestrzeni przeszło 200 kilometrów spłonęły lasy, a z nimi wiele wsi i dworów.

Pod Mistelbachem (według depeszy z Wiednia) nastąpiło 20 b. m. zerwanie chmury. Zginęło wielu ludzi, 40 domów i 50 pełnych stodół i obór z bydłem doszczętnie zrujnowanych.

W Bukareszcie 19 b. m. było silne trzęsienie ziemi.

Inspekcya fabryczna okręgu warszawskiego pociągnęła do odpowiedzialności kryminalnej zarządzają-

cego fabryką w Tomaszowie, Bornsteina, za uporczywe lekceważenie postanowień o robotnikach nieletnich.

A. G. Bem, znany pisarz, dotychczas nauczyciel gimnazyum w Kielcach, opuścił służbę rządową i osiedlił się w Warszawie, gdzie udzielać będzie lekcyj prywatnych historyi i literatury. Dla miasta naszego jest to bardzo poważny nabytek pedagogiczny.

W uniwersytecie genewskim kształciło się w r. b. 20 polek.

W Moskwie obywatelka F. J. Uszakowa przekazała uniwersytetowi miejscowemu 340,000 rs. na stypendya dla wszystkich wydziałów.

Ze Lwowa donoszą *Kur. warsz.*, iż Towarzystwo pomocy dla weteranów powstania polskiego zostało rozwiązane. — Zbierania składek na wzniesienie pomnika dla szewca Kilińskiego wzbroniono.

Instytut muzyczny. Podług nowej ustawy, ułożonej z pomocą rady nadzorczej dla warszawskiego konserwatoryum i przesłanej do zatwierdzenia ministeryum spraw wewnętrznych, dyrektorem, z pewnemi ograniczeniami co do mianowania nauczycieli, może być tylko wyłącznie krajowiec. Wychowańcy otrzymywać będą medale złote i srebrne, a chcący uzyskać patenty nauczycielskie, obowiązani będą po ukończeniu Instytutu przy nauczycielach właściwych klas przynajmniej przez rok jeden oznajmiać się z wykładem przedmiotu obranego.

Wojciech Zaborowski, zamieszkały w Paryżu, mianowany został inżenierem naczelnym kolei transafrykańskiej. Budowa rozpocznie się w kolonii portugalskiej, Angoli, na południowo-zachodnim brzegu Afryki.

Wybuchy wulkaniczne na wyspie liparyjskiej Vulcano, trwają od pewnego czasu bez przerwy. Ogromne bryły rozpalonego kamienia wylatują w powietrze. W Porto ogień zniszczył plantacye, kamienice, więzienie i składy win. Ludzie, którzy wylądowali na ratunek, musieli uciekać z wyspy przed gradem kamieni. Wicher niesie popiół aż na Sycylię.

Z Wrocławia donoszą, iż prezydent prowincyi szlązkiej otrzymał 50,000 marek na wsparcie powodzian Szlązka od komitetu ratunkowego w Berlinie za przyczynieniem się cesarzowej Fryderykowej.

Zmarli. Sydney Howard Gay, historyk amerykański, lat 74. Był współpracownikiem Williama Cullen Bryanta przy wydawnictwie ilustrowanej historyi Stanów Zjednoczonych.

— Molbech, poeta duński, 67 lat, w Kopenhadze. Odznaczył się jako liryk, pisywał także dużo dla sceny, przetłumaczył na język duński „Komedyę boską“ Dantego.

— Frank Holl, w Londynie, lat 43, malarz rodzajowy i portrecista.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

A. J. Ł. Ponieważ *imiona* są wspólną własnością rozmaitych narodów, więc nic dziwnego, że każdy je po swojemu przerobił. Ale *nazwiska* powinny być, o ile można, wymawiane w ich brzmieniu rodzinnem, gdyż mowa a nie pisownia jest główną istotą języka. Gdybyśmy chcieli czytać wyrazy angielskie Shakespeare, Fenshave itp. po naszemu, powstałyby takie same dziwolągi, jak z odczytania wyrazów Szukiewicz lub Łuszczkiewicz po angielsku. Ani Pan przypuszcza, coby z tego wypadło.

Zecerowi. Nie potrzebujemy.

P. Bol. Ciągl. Jeżeli chodzi o naukę wychowania, to dzieła Baina i Spencera; ale jeżeli o egzamin z pedagogiki w seminaryach galicyjskich, to trzeba się dowiedzieć, jakiego tam używają podręcznika.

P. M. Sł. Najlepszą metodą jest: poznanie głównych prawideł gramatyki i czytanie dzieł klasycznych ze słownikiem.

Uwaga. Redakcya rękopisów nie odsyła i tylko zastrzeżone do zwrotu zachowuje.

Ogłoszenia.

Wydawnictwa „Prawdy.“

2) J. Brandes: **Główne prądy literatury XIX w.**

Tom I.	Literatura emigrantów. Szkoła romantyczna w Niemczech	rs. 1 k. 50
„ II.	Literatura niemiecka — ciąg dalszy	„ 1 „ 50
„ III.	Rewolucya. Zasada powagi. Restauracya	„ 1 „ 50
„ IV.	Naturalizm w Anglii. Wordsworth, Coleridge, Walter Scott, Keats, Moore, Shelley, Byron	„ 2 „ —

3) **Ekonomia polityczna** według najznakomitszych badaczów niemieckich ułożona . . . . rs. 3

4) L. Liard: **Logika** . . . . „ 1

5) A. Espinas: **Społeczeństwa zwierzęce**, wraz z dodatkiem ogólnych dziejów socyologii.

Autor przedstawia ustroje życia zbiorowego śród zwierząt, dostarczając niezmiernie ciekawych objaśnień stosunków ludzkich.

Cena . . . . rs. 3

UWAGA. Wszystkie powyższe dzieła abonenci *Prawdy* nabywać mogą za **połowę ceny**. Na koszta przesyłki pocztowej dołączyć należy kop. 15 do każdego rubla.

6) E. Taylor: **Zmyślność i moralność roślin**

Treść: Przebiegłość kwiatów. — Ich dyplomacya. — Gra w chowanego. — Obrona nie zaczepka. — Współdziałalność. — Społeczne i państwowe gospodarstwo roślin. — Ubóstwo i bankructwo. — Rabunek i morderstwo — Odwrotna strona medalu. — Geograficzne rozpowszechnienie roślin.

Cena (w oprawie) . . . . . rs. 2 k. —
„ dla abonentów *Prawdy* . . „ 1 „ 50

7) L. H. Morgan: **Społeczeństwo pierwotne**: czyli badanie kolei ludzkiego postępu od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi, przekład A. B.

Rozwój inteligencyi. — Rozwój idei rządu. — Rozwój idei rodziny. — Rozwój idei własności.

Cena . . . . rs. 4 k. —
„ dla abonentów *Prawdy* „ 3 „ —
z przesyłką pocztową „ 3 „ 50

Egzemplarze oprawne dzieła Morgana **Społeczeństwo pierwotne** nabywać można za dopłatą kop. 40.

8) J. Barni i A. Krzyżanowski: **Męczennicy myśli** (w oprawie) . „ 1 „ —

9) A. Świętochowski: **O powstawaniu praw moralnych** . . . „ 1 „ 50

10) W. Okoński: **Dramaty** (Antea, Na targu, Helvia, Poddanka, Błazen, Za maską) . „ 1 „ —

11) — **O życie**, powiastki: Chawa Rubiu, Karl Krug, Damian Capenko . . . . „ — „ 50

12) — **Klemens Boruta**, powieść „ — „ 40

13) — **Niewinni**, dramat w 3 aktach kop. 80 z przesyłką rs. 1

14) Dr Azam: **Charakter w zdrowiu i w chorobie** . . . . rs. 1

15) N. Hirszband: **Byron** w urywkach rs. 1.20, z przesyłką rs. 1 kop. 25

Prenumeratorzy „PRAWDY“ otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою. Варшава, 12 Августа 1888 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.